Rok założenia 1933 (XXXII) • Lublin 1—15.X.1965 Nr 18 (328) • cena 2 zł

# Kamena

BIAŁYSTOK KIELCE LUBLIN RZESZÓW

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO—KULTURALNY

W numerze m. in.:
Jan Gerhard – Warszawa-Paryż
Zbigniew Frąc – Szanse kultury
Konrad Bielski – Nie zdążył...
Lesław M. Bartelski – Śmierć na Starówce

„Notatki z Opoczna" — czytaj na str. 5. Fot. Ireneusz Szukalski

JAN BABIŃSKI

## JAKIE SĄ POLKI?

— Czy Polki są naprawdę takie, jak Jagna?

To był pierwszy wieczór w Jugosławii. Przyjechaliśmy do Belgradu rano. Czyniący honory domu, Mihailo Vujanic — stołeczny korespondent sarajewskiego „Oslobodenja", której to redakcji byłem gościem, uczynił wszystko, aby w minione dwanaście godzin wtłoczyć maksimum punktów programu.

Zdążyliśmy więc być w Nowym Belgradzie, który w widłach Dunaju i Sawy pnie się ku niebu wieżowcami.

Węszowaliśmy po murach tureckiej twierdzy Kalemegdan.

Zwiedziliśmy Muzeum Wojska.

Z czarnych marmurowych stopni Mauzoleum Nieznanego Żołnierza na szczycie Avali podziwialiśmy panoramę Serbii.

Wmieszani w popołudniowy tłum spacerowaliśmy po Terazjiach, tym gigantycznym deptaku, wdychając atmosferę miasta.

Podziwialiśmy gmach Skupszczyny — Jugosłowiańskiego parlamentu.

Oglądaliśmy bogactwo wystaw handlowego city.

Po takim dniu czuje się w głowie straszny zamęt. A tu jeszcze kolacja w belgradzkim Klubie Literatów w rozgadanym (wszystkimi możliwymi językami na raz) towarzystwie młodej bohemy. I nagle to pytanie. Rzeczywiście, jeszcze tylko Pana Reymonta tu brakowało! Skąd zresztą oni go znają?

A znają, znają! Może i nie gorzej niż my w Polsce. „Chłopi" są od lat żelazną pozycją szkolnej lektury w Jugosławii. Podobnie jak Sienkiewicza — „Krzyżacy" i „Quo vadis", Dąbrowskiej — „Noce i Dni", poezje Mickiewicza, Słowackiego i wielu innych. Znajomość polskiej literatury jest więc w Jugosławii zaskakująca.

...Tymczasem przy stole zapadła cisza. Czujne spojrzenia współbiesiadników spoczęły na biednym Polaku, który nagle spocił się niczym przysłowiowa mysz. Ostatni raz miał przecież „Chłopów" w ręku przed chyba dwudziestu laty, a nie były to czasy sprzyjające studium nad literaturą. Co więc odpowiedzieć?

Zgodnie z prawdą zaprzeczyć — to oznaczałoby rozczarować czarnowłosą, czarnobrewą, czarnooką, podobną bizantyjskim madonnom interlokutorkę i jej krajan.

Potwierdzić — to znaczy okłamać ją i tych wszystkich nowych przyjaciół.

Można by było wprawdzie wdać się w dłuższy wywód, że upłynęło pół wieku, że zmieniły się warunki, że nastąpiły przemiany w obyczajowości. Czy ona jednak te zawiłości zrozumie? Tym bardziej, że dzieli nas bariera językowa.

Trzeba się było uciec do fortelu. Podniosłem więc w górę kieliszek, w którym złociła się dojrzewająca w piwnicach belgradzkiego „Navin'a" od pięciu lat najlepsza srpska sljivovica i oświadczyłem:

— Nie jestem pewien, czy Polki są takie, jak Jagna, ale wiem na pewno, że nie są tak piękne jak pani!

Wokół stołu rozszedł się szmer aprobaty. Strzał okazał się trafny. No cóż, literatura spopularyzowała w świecie mit o galanterii Polaków.

### Krucyfiks z kopersztychu

Czy pamiętacie stary kopersztych przedstawiający imć króla Jana, jak na Kalenbergu husarskiej chorągwi daje buławą znak do ataku na Turków stojących pod murami spowitego w prochowych obłokach Wiednia. Jeśli tak, to macie także w oczach zakapturzonego mnicha, który błogosławi krzyżem polskie wojsko.

Muszę się przyznać, że ten fragment sztychu brałem zawsze za wytwór wyobraźni artysty. Potrzebny mu raczej ze względów, że się tak wyrażę, ideologicznych, niż dla odtworzenia rzeczywistego przebiegu wypadków. O naiwny!

Po Kotorze chodziłem z głową lekko skołowaną. Miałem za sobą opętany zjazd z prawie 1100-metrowej (nad poziomem morza) przełęczy Grbalj dwudziestu pięciu serpentynami w dół, nad zatokę. Spacer, a właściwie wspinaczkę, na mury fortecy przylepionej niczym jaskółcze gniazdo do skały o paręset metrów ponad miastem, widocznym stamtąd niczym z lotu ptaka. Zwiedzenie samego Kotoru, co choć podobnie jak Dubrownik zastygł w historycznym kształcie wewnątrz miejskich fortyfikacji, ale w przeciwieństwie do swego renomowanego sąsiada nie robi wrażenia gigantycznego skansenu dla turystów czy filmowej makiety tak doskonałej, że aż kiczowatej. Teraz, w ślad za grupą jakichś turystów, zagłębiłem się w mroczne wnętrze katedry.

Przewodnik, stary wyga, w lot widać zorientował się w stanie mego ducha, bo najpierw wmówił mi za duży pieniądz przewodnik po Kotorze, ze sprytnie — jak się potem okazało — wymazaną datą wydania: 1934 r., a potem wyciągał rękę po pokazaniu każdego kolejnego fragmentu rzeczywiście ciekawego kościoła. W końcu, chcąc widać wykonać swój finansowy plan maksimum, powiódł jeszcze do katedralnego skarbca. Czegóż tam nie było! A więc osobno szczątki i głowa patrona kościoła, św. Tryfona, zamęczonego za panowania cesarza Decjusza, a złożonego w Kotorze przez Andrzeja Saraceńskiego w 809 r. Wotywne nogi i ręce naturalnej wielkości, całe odlane ze srebra. Rzymskie szklane urny z kosteczkami jakichś bliżej nie zidentyfikowanych osobników. Oczywiście drzewo z krzyża świętego. Monstrancje i miecze, lampy oliwne z drogich kruszców i embriony w spirytusie.

Staruszek zauważył brak podziwu dla tego gabinetu osobliwości i okropności. Zląkł się widać, że nie dostanie kolejnych 100 dinarów. Począł więc dopytywać się, z jakiego kraju przybywam, w nadziei, że może znajdzie coś specjalnego. Kiedy dowiedział się, że z Polski rozpogodził się natychmiast.

— Mamy tu coś dla pana. Oto — mówił, pokazując srebrny krucyfiks wysadzany szlachetnymi kamieniami — krzyż, którym w 1683 r. pod Wiedniem kapucyn Marco d'Aviano, błogosławił wojska waszego króla Jana Sobieskiego idące na Turków.

Czyżby więc autor starej ryciny wiernie oddał wydarzenia spod Wiednia? Sprawdziłem. Rzeczywiście. A krzyż z katedralnego skarbca w Kotorze jest autentyczny. Jego właściciel zginął później, raniony w walkach. Krucyfiks dostał się w ręce prowincjała zakonu kapucynów, de Santi. Od niego otrzymał go proboszcz kościoła pod wezwaniem św. Symeona w Zadarze. Ten zaś ofiarował krzyż swemu ulubionemu uczniowi — kotorczykowi, studiującemu w tamtejszym seminarium duchownym. Z nim krucyfiks przywędrował do Kotoru. Dostał srebrną podstawę, na której wyryto jego dzieje, i do dziś stoi sobie spokojnie, lekko przykurzony w skarbcu katedralnym.

Nie muszę chyba wyjaśniać, że stary przewodnik przekroczył jednak w tym dniu swój plan wpływów finansowych!

### Oczarowany Gałczyńskim

Na parterze sarajewskiej czynszówki z lat trzydziestych, w trzech pokojach z kuchnią, gnieździ się redakcja tygodnika „Zizń". Mało kto w Polsce wie, jak zasłużone to pismo dla popularyzacji naszej literatury. Wielokrotnie Tuwim, Iwaszkiewicz, Przyboś, Andrzejewski czy Różewicz właśnie poprzez jego łamy docierali po raz pierwszy do jugosłowiańskiego czytelnika. Kiedy zaś redaktorem „Zizni" był Izet Sarajlić, udostępniło ono Jugosłowianom po raz pierwszy na

(Dokończenie na str. 6)

LESŁAW M. BARTELSKI

## ŚMIERĆ NA STARÓWCE

ŚWIAT poza oknem wydawał się pełen blasku i spokoju. Dwie olbrzymie nadwiślańskie topole o pniach ciemnych, ledwie widocznych spod gęstego listowia, rozrastały się na tle błękitu jak pióropusz zieleni. Słońce kładło się na liściach jesiennym złotem. Siedziałem tak w milczeniu przy oknie, jakby otępiały i nawpół przytomny, wciąż nie mogąc się pogodzić z tym, co zobaczyłem, i popiół osadzał się ciężarem na moich powiekach. Wczoraj na Saskiej Kępie, dzielnicy, w której mieszkałem, niedaleko ulicy Walecznych hitlerowcy dokonali potwornie nieludzkiego mordu. Przywieźli ciężarówkami 20 ludzi, przypadkowo zatrzymanych, czy też wyciągniętych z tramwajów i poprowadzili powiązanych na brzeg Wisły. Jakaś kobieta pomiędzy nimi płakała i krzyczała głośno zanim padły strzały, które zagłuszyły jej protest. Na uschłej trawie widniały ciemne plamy krwi, piasek nadbrzeżny był jeszcze zdeptany ostro podkutymi butami plutonu egzekucyjnego, gdyśmy poszli złożyć kwiaty na miejscu kaźni, w pobliżu mostu Poniatowskiego Była piękna niedziela październikowa. Kwiaty miały barwę pełnej jesieni. A świat skurczył się do rozmiarów wylotu lufy karabinowej, ciemnej i groźnie połyskującej.

Czy sztuka miała jakikolwiek sens w takich chwilach? Czy można było myśleć o literaturze? Jesienią 1943 roku Warszawa była narażona na bestialstwo hitlerowców bardziej niż kiedykolwiek. Któż mógł się zresztą spodziewać, że w rok później zostaną z miasta jedynie wypalone ruiny i morze zgliszcz? Każdy dzień przynosił wstrząsające wiadomości o publicznych egzekucjach, na murach wisiały plakaty o barwie krwi z listą rozstrzelanych, na murach wypisane były także ogromne litery „October" jak ostrzegawczy znak. Czy w takich czasach, kiedy każdy z nas narażony był na zagładę, literatura znaczyła cokolwiek? Stawiając te pytania, zdawałem sobie doskonale sprawę, że odpowiedź moja będzie jednoznaczna. Nie tylko moja, ale tych wszystkich, którzy tkwili w podziemiu i czekali na dzień wyzwolenia. Literatura zdawała się być obroną, zdawała się nieść te nadzieje, których poskąpiono rozstrzeliwanym — nadzieje przekazania potomnym obrazu wojny, mającej apokaliptyczne niemal cechy. Jeszcze w latach okupacji odbyłem szereg rozmów z ludźmi przypadkowymi, którzy oburzali się, że w tak ciężkich czasach można zajmować się literaturą, jakby nie rozumieli, że tylko ona może przekazać światu ten krzyk mordowanych. I przekazuje po dziś dzień.

Starałem się nie myśleć o tym nadbrzeżnym piasku, nasiąkłym krwią, nie poddać wizji, która opanowywała wyobraźnię. „Śmierć jest ze mną i we mnie. Chodzę w niej jak w płaszczu za dużym na mnie — wiejąc szerokimi rękawami i ciągnąc poły po ziemi szeleszczącej jak blacha" — powtarzałem słowa przyjaciela z jego liryku prozą „O śmierci". Właśnie czekałem na niego, miał przyjść lada chwila. Zdzisław Stroiński był moim kolegą z tajnego kompletu prawa i on mnie wciągnął do grupy poetyckiej „Sztuka i Naród". Poznaliśmy się przed rokiem zaledwie, nim go spotkałem — dowiedziałem się, że jest przystojny, że przyjął pseudonim Marka Chmury, że jednocześnie poza prawem studiuje polonistykę.

Jego przyjazd z prowincji poprzedzała fama. Przebywał na wakacjach u rodziców w Zwierzyńcu nad Wieprzem; ojciec jego był radcą prawnym ordynacji Zamojskich. Stroiński zjawił się wreszcie, trafił na wykład prawa kościelnego. Wpatrywałem się w niego natrętnie, siedział po drugiej stronie stołu, pokój był do tego stopnia ciemnawy, że nawet w dzień trzeba było palić światło, mrużył więc powieki jak krótkowidz. A może czuł, że jest obserwowany? Przystojny, nawet niezwykle przystojny, blondyn o rozwichrzonej, rzedniejącej czuprynie i marzących oczach słuchał wykładu jakby go to niewiele obchodziło. Nosił biały, wykładany kołnierzyk à la Słowacki i szarą marynarkę.

(Dokończenie na str. 3)

### Rozwiązanie konkursu „KAMENY"

W MAJU br. redakcja „Kameny" wspólnie z Wydziałem Kultury Prez. WRN w Lublinie zorganizowała dwa konkursy: jeden dla młodzieży szkolnej czterech województw — białostockiego, kieleckiego, lubelskiego i rzeszowskiego, drugi — dla studentów lubelskich uczelni.

Pierwszy konkurs polegał na napisaniu pracy pt. „MOJE MIASTO", drugi — obejmował recenzję teatralną ze sztuki „KTOŚ NOWY" Domańskiego, wystawionej przez Teatr im. J. Osterwy w Lublinie.

Na pierwszy konkurs napłynęło 47 prac, na drugi — — 8. Konkurs dla młodzieży szkolnej główne zainteresowanie wzbudził w woj. lubelskim i woj. białostockim.

Jury (ZBIGNIEW FRĄC, MAREK A. JAWORSKI, ZYGMUNT MIKULSKI) postanowiło nie przyznać pierwszej nagrody w konkursie dla młodzieży szkolnej. Przyznano natomiast dwie drugie nagrody i trzy trzecie.

Nagrody drugie otrzymują: JOLANTA MŁYNARCZYK z Rudzynia i RYSZARD KUDELSKI z Brzozowa, nagrody trzecie — KRYSTYNA GÓRNA z Białegostoku, BARBARA SZEWCZUK z Końskich i MIROSŁAW NAZAR z Chełma.

W konkursie dla młodzieży studenckiej przyznano pierwszą nagrodę JERZEMU SZUMSKIEMU i dwie drugie — KAZIMIERZOWI POSTULSKIEMU i KRZYSZTOFOWI GŁOGOWSKIEMU.

Redakcja prosi laureatów o podanie dokładnych adresów. O trybie wręczenia nagród (są to nagrody rzeczowe) nastąpi oddzielne zawiadomienie.

Jan Gerhard

# Warszawa - Paryż

PRASA codzienna pisała tak obszernie o nader pozytywnej atmosferze wizyty polskiej delegacji rządowej, z premierem Józefem Cyrankiewiczem na czele, we Francji, że rozwodzenie się nad tym byłoby, z konieczności, powtórzeniem. Celem tych rozważań jest podsumowanie wizyty i rozpatrzenie naszych perspektyw dyplomatycznych na odcinku francuskim.

## Punkty zbieżne

Należy przede wszystkim stwierdzić, że jeśli w ogóle doszło do spotkań paryskich, to stało się tak dlatego, iż w stosunkach między obu krajami istnieją pewne punkty zbieżne, które umożliwiają takie kontakty.

Punktem zbieżnym w dziedzinie politycznej jest częściowo problem niemiecki. Francja, której polityka kierowana jest obecnie przez prezydenta de Gaulle'a pozostaje przeciwna bońskiej Machtpolitik. Wielokrotnie miałem już okazję przedstawiania poglądu Paryża w tej kwestii. Jest on prosty: Niemcy wywołały wojnę, przegrały ją i muszą z tej racji ponieść konsekwencje. Pałac Elizejski stoi więc na stanowisku, że Niemiecka Republika Federalna nie może mieć pretensji do rewizji granic ustalonych w wyniku drugiej wojny światowej, do pełnienia jakiejś przewodniej roli w Europie, do nuklearyzacji swej armii. Właściwie w tym tryptyku zawiera się cała istota rzeczy.

Pokrywa się to naturalnie z naszym stanowiskiem. To, że Paryż nie uznał de jure naszych granic zachodnich, a ograniczą się do zapewnień werbalnych, w których oświadcza, że kiedy dojdzie do zjednoczenia Niemiec oraz do traktatu pokojowego z nimi poprze stanowisko Polski, musi na razie wystarczyć. Inne państwa zachodnie nie uczyniły nawet tego. Francja zajmuje więc pozycje, które pozwalają na żywienie nadziei, że Paryż dotrzyma swej obietnicy niezależnie od tego, czy na czele państwa francuskiego stać będzie jego obecny szef, czy ktoś inny.

Punktem zbieżnym jest dalej francuskie dążenie, (według zapewnień de Gaulle'a), do utrzymania stanu bezpieczeństwa w Europie.

Nasze pozycje pokrywają się w poglądach na temat nieingerencji w wewnętrzne sprawy innych państw jak Wietnam Południowy czy Cypr.

Ważny punkt zbieżny to wzajemna dobra wola w rozwijaniu stosunków handlowych, wymiany naukowo-technicznej i kulturalnej między Warszawą a Paryżem.

Niektóre z tych punktów znalazły wyraz w końcowym komunikacie z wizyty polskiej delegacji rządowej we Francji. Intencja obu stron, *„aby między wszystkimi państwami kontynentu rozwijała się stopniowo współpraca, oparta na wzajemnym poszanowaniu ich suwerenności"*, a także popierania tendencji *„w kierunku normalizacji stosunków między Wschodem a Zachodem Europy"* wskazuja na atmosferę dobrej woli nad Wisłą i nad Sekwaną. Słowa: serdeczność i przyjaźń występują zarówno na początku, jak i na końcu komunikatu.

Takie są w ogólnym zarysie punkty zbieżne między nami a Francuzami.

## Wahania

Paryskie rendez-vous naszej delegacji rządowej było spotkaniem dobrych intencji i dobrej woli. Fakt ten nie może jednak przesłonić odmiennej interpretacji różnych zagadnień w Paryżu i w Warszawie.

Tak więc dla prezydenta de Gaulle'a nasza granica na Odrze i Nysie pozostaje nienaruszalna, ale oficjalne jej uznanie nastąpi po zjednoczeniu Niemiec, za których jedyną legalną reprezentację uważa szef państwa francuskiego Niemiecką Republikę Federalną. Tak jest do chwili obecnej i w tym punkcie de Gaulle nigdy nie zmienił swego poglądu. Zjednoczenie Niemiec w jego wersji zakładałoby zniknięcie Niemieckiej Republiki Demokratycznej, która — nie trzeba tego chyba podkreślać — jest tym właśnie państwem niemieckim uznającym de jure nasze granice zachodnie. Oczywiście pewne zbliżanie gospodarcze między Francją a NRD, którego oznaki mieliśmy w ciągu minionego roku, pozwala przypuszczać, iż następuje tu może jakaś ewolucja w pozycjach. W jakiej mierze i do jakiego stopnia, nie wiemy.

Inny problem: bezpieczeństwo w Europie. Paryż nie aprobuje ani Planu Rapackiego, ani Planu Gomułki i de Gaulle odnosi się do obu tych konkretnych propozycji rozbrojeniowych z powszechnie znaną rezerwą.

Nadzieją jest tu, oczywiście daleko posunięta rezerwa prezydenta V Republiki wobec bloków militarnych, jak NATO i SEATO oraz MLF i atlantyckiej siły nuklearnej. Jedno w pewnej mierze neutralizuje drugie. Jest to specyficzne dla elastycznej polityki Pałacu Elizejskiego.

W sprawie Wietnamu, (o innych ogniskach niepokoju światowego nie było w komunikacie polsko-francuskim mowy, nie są więc przedmiotem tych rozważań), Paryż potwierdza swe stanowisko oparte na układach genewskich z 1954 roku. Niemniej jednak w toku swej konferencji prasowej z 9 września, a więc odbytej dokładnie w dniu przybycia szefa naszego rządu do stolicy Francji, de Gaulle oświadczył, że w Wietnamie *„Francja nie ma niczego do zdziałania poza oszczędzaniem się na później, jeśli w ogóle zdarzy się, iż nadejdzie taka chwila, w której wyłoni się możliwość stania się pożytecznym"*. (Dosłownie: *„la France n'a rien d'autre à faire que de se menager pour plus tard, si tant est que le moment vienne jamais, la possibilité d'être utile"*). Inaczej mówiąc, de Gaulle pozostaje przy swym poglądzie, ale nie widzi możliwości zdziałania czegoś w praktyce.

## Podstawy dialogu

Przyjęliśmy w naszej dyplomacji wobec państw o odmiennym od naszego ustroju, w tym również wobec Francji, zasadę, że nie rozbieżności są istotne, lecz właśnie punkty zbieżne. To, co nas łączy, nie to, co nas dzieli. Taka jest podstawa dialogu. Obserwatorowi może się w tym miejscu nasunąć pytanie: dlaczego dialog był potrzebny nam i dlaczego był potrzebny stronie francuskiej?

Z naszej strony na pierwsze miejsce wysuwa się tu ogólne założenie potrzeby bezpośrednich kontaktów między przywódcami państw o różnych systemach politycznych, społecznych i gospodarczych. Kraje socjalistyczne są bezspornymi inicjatorami tej linii postępowania i jeśli w świecie, mimo wielu dramatycznych zwrotów komplikacji, uzyskane zostały rozmaite pozytywy na rzecz odprężenia, to stało się tak właśnie dzięki temu założeniu. V Republika Francuska jest państwem, z którym dialog może być prowadzony i dlatego Polska, na równi z innymi krajami wspólnoty socjalistycznej, przyjęła zaproszenie do Paryża.

W naszych intencjach leży odprężenie w świecie, bezpieczeństwo w Europie, uniemożliwienie nuklearnej Machtpolitik Bonn, przegrodzenie drogi amerykańsko-bońskim projektom wielostronnej siły nuklearnej, nieinterwencja w sprawy wewnętrzne innych narodów, współpraca gospodarcza, techniczna i kulturalna na platformie międzynarodowej. Paryska wymiana poglądów może się przyczynić do procesu realizacji tych celów. Przyjmując zaproszenie do Paryża, rząd polski kierował się tymi intencjami. Czynnik emocjonalny — sympatia i przyjaźń między naszymi narodami — odgrywa swą dodatkową rolę w atmosferze ogólnej tak akcentowanej w naszych doniesieniach prasowych. Sytuacja jest na tym polu inna, niż w tradycji historycznej minionych czasów. Wtedy, od wojny trzydziestoletniej, poprzez wydarzenia XVIII i XIX wieku, a także pierwszą wojnę światową, do tej drugiej, w której Francja winna była nam w 1939 roku przyjść z pomocą. Polska była czymś w rodzaju petenta i klienta w Paryżu. Dziś jesteśmy równorzędnym partnerem i ewentualnym kontrahentem. Inna rola nie wchodzi żadną miarą w rachubę.

Intencje ze strony francuskiej są zarówno natury politycznej, jak i gospodarczej. Przede wszystkim tej pierwszej.

W swojej, na planetarną skalę zakrojonej grze, prezydent de Gaulle toczy pojedynek ze Stanami Zjednoczonymi. Jest to prawdziwa batalia, w której Pałac Elizejski stara się działać aktywnie tam, gdzie ogniwa amerykańskiej blokady politycznej i gospodarczej są słabe. Nawiązanie stosunków dyplomatycznych z Chinami, wymiana gospodarcza z Kubą, działalność Francji w Ameryce Łacińskiej i Afryce, jej pozycje wobec Azji południowo-wschodniej są w tej samej mierze wyrazem tego dążenia, co zbliżenie do krajów socjalistycznych, w tym także i Polski.

W tej batalii udało się Paryżowi zamrozić Europejską Wspólnotę Gospodarczą i NATO, czy projekt MLF, ale nie udało się jeszcze zrealizować owej „Europy politycznej" z Niemcami zachodnimi jako głównym partnerem. Toteż de Gaulle rozwija swe natarcie i spotkanie polsko-francuskie jest w intencjach Pałacu Elizejskiego jednym z etapów znacznie szerszego działania.

Poza znaczeniem zewnętrzno-politycznym wizyta polska miała dla prezydenta de Gaulle'a również bezsprzeczne znaczenie wewnętrzne. Francja znajduje się w przededniu wyborów prezydenckich. De Gaulle jest zaciekle atakowany przez opozycję, szczególnie na wsi i wśród warstw drobnych konsumentów zniechęconych drożyzną. Zbliżenie do krajów socjalistycznych dobrze widziane przez francuską opinię publiczną, neutralizuje w dość istotny sposób opozycjonistów. Jest to dla rządzących we Francji gaullistów tym ważniejsze, iż ostatnio do tych ataków zdają się przyłączać wielkie koncerny związane interesami z USA i obawiające się protekcjonizmu gospodarczego przypisywanego Pałacowi Elizejskiemu.

Są to naturalnie tylko główne zarysy intencji oraz interesów, które zadecydowały o polsko-francuskim spotkaniu w Paryżu. O jego następstwach i dalszym rozwoju stosunków między naszymi krajami opowie przyszłość.

ADOLF JAKUBOWICZ

# Plamy czarne i białe

OSTATNIE plenum KW PZPR w Rzeszowie poświęcono problemowi działalności kulturalno-oświatowej w socjalistycznym wychowaniu wsi i temat ten stwarzał rzeczywiście szansę do pokazania spraw interesujących, wykraczających daleko poza sformułowania tytułu referatu.

Materiał przedstawiony na plenum w referacie sekretarza KW, Stanisława Ryby, oparto na szczegółowych badaniach przeprowadzonych w dwu powiatach: brzozowskim i dębickim, oraz na bogatym materiale ankietowym zebranym w ponad trzystu osiemdziesięciu wsiach województwa rzeszowskiego.

Myślę, że referat w pewnym sensie pokazał kulturę rzeszowskiej wsi roku 1965, i zrobił to w sposób konkretny, choć niejednokrotnie bardzo krytyczny. Na szereg postawionych w nim pytań miała dać odpowiedź dyskusja.

Materiały rzeszowskiego KW stwierdzają, że cechą charakterystyczną badanych wsi jest ich duże zróżnicowanie gospodarcze, a jeszcze w większym stopniu społeczne i kulturalne.

To prawda, że w zasadzie w każdej wsi, osadzie, miasteczku liczącym powyżej tysiąca mieszkańców, a w powiatach bieszczadzkich powyżej 300—400 mieszkańców, działa placówka kultury, że każda gromada, a także spora część wsi ma już swoją bibliotekę. Skupisko zaś ludzi powyżej 200 mieszkańców — własny punkt biblioteczny.

Mamy 76% zelektryfikowanych wsi. Wiele z nich dysponuje szerokim wyborem maszyn rolniczych i gospodarskich, których wpływ na ilość wolnego czasu statystycznego obywatela mieszkającego na wsi jest bezsporny.

A przecież niemal każdy z badanych powiatów przedstawia obraz zupełnie odmienny, każdy z nich ma te swoje plamy czarne i białe...

Badania prowadzone w powiecie brzozowskim stwierdzają na przykład, że w szeregu wsi położonych za Sanem, z którymi nie ma stałych połączeń komunikacyjnych, sytuacja kulturalna przedstawia się daleko poniżej niewyszukanej przeciętnej powiatowej.

Z reguły wieś z siedzibą gromadzkiej rady narodowej, prawdopodobnie w myśl zasady: bliższa koszula ciału niż sukmana, wyposażona jest w lepszy lokal, rzadziej niż w pozostałych wsiach należących do gromady występują tu kłopoty z funduszami na opał, światło, na opłacenie bibliotekarza i zakup książek.

Dyskutanci nie nawiązali, niestety, do tego problemu, który w warunkach województwa rzeszowskiego ma znaczenie zasadnicze.

Może tylko wystąpienie sekretarza Komitetu Powiatowego partii w Dębicy, Antoniego Doparta, było jakąś próbą nawiązania w sposób konkretny, niemal roboczy, do postawionych w referacie problemów.

Opowiedział on uczestnikom plenum o inicjatywach i pracach aktywu kulturalnego tego powiatu w organizowanej od kilku lat akcji „Biblioteka ośrodkiem życia kulturalnego wsi". W jego wypowiedziach nie było tak popularnego w podobnych okolicznościach „popisywania się" osiągnięciami. Była rzeczowa analiza sytuacji, spostrzeżenia o sukcesach i brakach w realizacji tej inicjatywy.

Udają się więc w powiecie dębickim różne, wykraczające poza tradycyjne formy akcje oświatowe prowadzone w placówkach wiejskich. Powiat uzyskał czwarte miejsce w skali krajowej w konkursie „Wieś bliżej teatru" organizując dziesiątki spotkań z artystami Teatru im. Wandy Siemaszkowej w Rzeszowie. Są w powiecie dębickim wsie takie jak Strzegocice, czy Parkosz, których mieszkańcy bywają częstszymi gośćmi teatru zawodowego niż niejeden mieszkaniec wojewódzkiego miasta.

Równocześnie jednak o jedno miejsce w wiejskim kinie tego powiatu ubiega się ponad 130 jego statystycznych mieszkańców. Na-

(Dokończenie na str. 7)

## przegląd PRASY

O PROWINCJI można pisać różnie. Nie tak dawno we „Współczesności" pisał T. Byrski, że całe współczesne polskie życie teatralne jest jedną wielką prowincją. Z teatrami warszawskimi włącznie, oczywiście. Wielu publicystów powiada natomiast, że prowincja oznacza już pojęcie historyczne, prowincja cofa, się zanika. Aż tu znany reportażysta Z. Kwiatkowski (*Istnieje kopia?* — „Życie Literackie") stanowczo temu zaprzecza: *„Prowincja istnieje. Mało tego: jest w ataku. Pęcznieje, tężeje od gęstniejących treści, obejmuje coraz to większe obszary, dociera pod rogatki stolic.*

Groźnie to więc wygląda. Ale cóż to jest ta prowincja? Przed wojną obejmowała ona to wszystko, co leżało poza rogatkami stolicy czy pomniejszych stolic. Prowincja była konią wielkiego świata, kopią zubożoną o szczyty. Jak każdej zaś kopii brak było oryginalności, wszystko tu jest, wtórne, czasem karykaturalne. Ale na tej prowincji żyli ludzi wyrastający często ponad nią, nieprzeciętni. *„Młody człowiek* — pisze Kwiatkowski — *ten niespokojny, poszukujący swojej drogi i miejsca na świecie miał, na miejscu, w zasięgu obserwacji wzory istniejących sposobów życia, postaw życiowych"*. Ot, choćby lekarza, nawet nauczyciela.

Te rozważania poczynione na przykładzie konkretnego miasta służą autorowi do spostrzeżeń bardziej aktualnych. Oto widok główny tego samego miasta AD 1965: *„Spłaszczenie struktury społecznej miasta (...) Nikogo, kto budziłby zainteresowanie, o kim by się przede wszystkim mówiło — obojętnie dobrze czy źle. Od lat — ani jednej kariery: (...). Typ kariery osobistej — może lepiej — indywidualnej przestał istnieć. Szczytem marzeń jest własny dom, w kręgach inteligencji - samochód"*.

Ale to obserwacja słuszna tylko częściowo. Ponadto — inne by stąd wyciągnąć wnioski niż czyni to autor. Przecież przeciwstawienie tego stanu rzeczy — sytuacji przedwojennej nie ma sensu. Przed wojną trudno było uzyskać wykształcenie a łatwiej zrobić karierę, po wojnie było odwrotnie. Dla mieszkańca małego miasta zostanie lekarzem równało się zrobieniu kariery, teraz dyplom lekarski nie jest jej gwarancją. Dziś pojęcie kariery znaczy co innego, co innego jest jej wyróżnikiem, na pewno trudniej ją uzyskać.

Kwiatkowski ma za złe, że młody człowiek nie marzy teraz o karierze według wzorców spotykanych w najbliższym otoczeniu. Wydaje się, że to jest właśnie przezwyciężeniem prowincji, otwarciem świata, połamaniem cpłotków. Własny los mierzy się teraz innymi miarami. Większymi. Daleki dotychczas świat przychodzi teraz codziennie na wyciągnięcie ręki.

Obraz dzisiejszej prowincji, sporządzony przez Kwiatkowskiego, przedstawia się smutno i rozpaczliwie: *„płaskość jest cechą szczególną polskiej prowincji. Płaskość, nijakość rzeczy, zjawisk, więzów łączących ludzi, dzielących ich animozji, niechęci"*. Naprawdę? Chyba to uogólnienie zbyt niesprawiedliwe. Czy tylko to składa się na obraz miasta, które nie jest stolicą? Reportażysty nie zadowalają przejawy normalnego życia, o których sam zresztą pisze. Ma miastu prowincjonalnemu za złe, że panuje tu anonimowość, nie istnieją jednostki-autorytety. Nie ma klimatu dla indywidualności podkr. — T. K.). Brak mu jest autentyczności. Żeby przyjąć te zarzuty, należałoby np. się umówić, na czym ma polegać ta autentyczność. Odmieniam się bowiem twierdzić, że człowiek żyjący nawet w małej społeczności żyje w niej naprawdę autentycznie, obchodzi go żywotnie to, co się wokół niego dzieje, nawet jeśli sam nie grzeszy nadmierną aktywnością. Naturalnie — zawsze znajdą się ludzie, którzy i w małym mieście żyją na prawach azylu, ekstertorialności, ale to wyjątki lub sytuacje przejściowe.

Odnosi się wrażenie, że autor trafił na wyjątkowy przykład, jeśli znalazł materiał do tylu oskarżeń. Pisze np. o anonimowości i obojętności wobec różnych poczynań. Nie wiążą się one z miejscowym człowiekiem, przychodzą z góry, z planu. Nieprawda! Ileż trzeba bowiem zachodów, zabiegów, wysiłków, aby do tego doprowadzić. Dom kultury, szkoła, czy kluby nie powstają cudem, ktoś musi to „wychodzić". Kamienie węgielne nie kładą się same pod fundamenty, każdą złotówkę trzeba wydeptać u góry. Każdy krok naprzód, każde ulepszenie życia mierzy się tu autentycznym ludzkim wysiłkiem. Wysiłkiem ludzi tzw. prowincji.

A że nie ma indywidualności? Rozwój społeczeństwa prowadzi ku wyrównaniu i niwelacji indywidualności (przed czym trzeba się z całej siły bronić). Coraz trudniej też o zbawców i mądrych", którzy byliby jedyną wyrocznią. O kryzysie rozmaitych autorytetów, w tym i autorytetu nauczyciela, wyjano już wiele atramentu. A jeśli nawet nie ma autorytetów, to jest wielu ludzi ciekawych, o szerokich horyzontach, ludzi szanowanych, którzy dobrze dbają o interesy miejscowe. Znaleźć ich można w towarzystwach regionalnych, i nie tylko tam.

Reportaż Kwiatkowskiego jest pod pewnym względem typowy: prezentuje spojrzenie z zewnątrz, a więc powierzchowne. I im więcej tu uogólnień, tym mniej faktów. Na koniec: cóż z tego, że mniejsze miasto kopnięte stolicę. Nieważny jest sam fakt wyboru, ale, co się wybiera i jaki się z tego robi użytek. A także — kto wybiera. Bo tu gdzieś przebiega granica między powierzchownością mody a postulowanym przez autora autentyzmem.

T. K.

# ŚMIERĆ NA STAROWCE

*(Dokończenie ze str. 1)*

Kiedy wstał po wykładzie, wydał mi się dość wysoki. Podszedłem do niego i powiedziałem wprost, że wiem o tym, iż interesuje się poezją, bo i ja też. Spojrzał na mnie niechętnie, dopiero po chwili potwierdził, ale tak jakby się chciał pozbyć natręta. Poznanie nasze wypadło inaczej aniżeli się spodziewałem. Liczyłem na entuzjazm z jego strony, a spotkałem się z wyraźnie chłodnym przyjęciem. Dopiero gdyśmy się bliżej poznali i zżyli, zapytałem go o to wręcz. Wyjaśnił mi, że różni koledzy podsuwali mu swoje grafomańskie wiersze, wiedząc, że interesuje się on poezją i dlatego obawiał się wszelkich tego rodzaju znajomości. Dodał jeszcze: — „Nachodzą nas różni grafomani..." Nie spytałem, co znaczy nas, ale niebawem i to się wyjaśniło. Poznałem bowiem jego kolegę z tajnego kompletu polonistyki i zarazem przyjaciela, Tadeusza Gajcego, od tej pory traktował mnie już jako „swojego". Towarzyszyłem mu w różnych wieczorach autorskich, gdzie czytał swoje utwory obok Bojarskiego, Trzebińskiego i Gajcego. Piękny salon w mieszkaniu państwa Jeziorańskich na Jasnej był najczęstszym miejscem tych spotkań. Zresztą, lokale zmieniały się.

Kiedyś pogoniliśmy w jakąś jesienną niedzielę bodaj na Wspólną, Stroiński nie miał zanotowanego adresu, lecz operował pamięcią. Zdarzyło mu się, że zapomniał numeru mieszkania. Od czego jednak pomysłowość! Chodziliśmy od mieszkania do mieszkania i bębniliśmy do drzwi. Nikt nigdzie nam nie otworzył. Daliśmy więc spokój. Na drugi dzień Stroiński dowiedział się od gospodarzy wieczoru, że gdy usłyszeli tak głośne dobijanie się do drzwi, pomyśleli, że to Niemcy i postanowili nie otwierać. Tak samo uczynili sąsiedzi. Wróciliśmy więc nieco skwaszeni do jego studenckiego pokoiku nad „Cafe Clubem". Siedziałem wtenczas u niego do późnego wieczora, rozgadał się jak nigdy; stał mi się jeszcze bliższy. Niezwykle prawy, subtelny, miał w sobie coś z dobroci św. Franciszka, co tym bardziej podkreślała jego skłonność do abnegacji. Kiedy mówił o poezji, zapalał się i toczył dyskusję, starając się wszechstronnie uzasadniać swoje argumenty. Był nieprzejednany w ocenach i nie zważał na żadne konwenanse. Umiał świetnie, niezwykle plastycznie określać kolegów, doskonale pamiętam, jak jeszcze wtenczas nieznanego mi Tadeusza Borowskiego autora cyklu poetyckiego „Gdziekolwiek ziemia", który krążył w kręgach młodej literatury, przyrównał do Puszkina ze względu na pewne podobieństwo fizyczne. On mnie wprowadził w świat młodej podziemnej poezji i dostarczył odbite na powielaczu zbiory Baczyńskiego i Borowskiego. Sam skończył, jak twierdził, z pisaniem wierszy i przerzucił się na liryki prozą, ten rodzaj dość popularny wśród katastrofistów, również szeroko uwzględniony w tomie Przybosia „Równanie serca".

Wszelkie zależności Stroińskiego od Rimbauda, jak sugerują niektórzy krytycy, należy uznać za bezzasadne. „Zdziś Stroiński przyjeżdżał wczoraj po moje przekłady „Illuminacyj" Rimbauda drukowane jeszcze kiedyś w „Zdroju". Obiecałem mu je dawniej, namawiałem do przeczytania, bo on pisuje także same prozy poetyckie, a Rimbauda nie znał, wywalał więc poniekąd otwarte drzwi. Mówiliśmy o tym dawno, przed rokiem, ale on przez te parę miesięcy przesiedział na Pawiaku, za tego Kopernika" — notował Jarosław Iwaszkiewicz pod datą 15 lipca 1944 roku, co później ogłosił na łamach „Kuźnicy" (nr 39 z dn. 25.III.1946 r.). „Ja go najbardziej lubię z całej „Sztuki i Narodu", chociaż uważam go za mniej zdolnego od innych. Tadek Gajcy bije go na głowę. Zdziś ma też do mnie jakieś specjalne zaufanie i przyjeżdża do Stawiska, kiedy może. Opowiadał mi, że przeżycia jego na Pawiaku były czymś jedynym i niezapomnianym, ale i przerażającym. Że czuje się teraz jak Dante po powrocie z tamtego świata. Przeżył na Pawiaku najstraszniejsze czasy masowych rozstrzeliwań na ulicach i w getcie. Było raz tak, że sam został w celi, wszystkich innych zabrano na rozstrzelanie" — dodawał Iwaszkiewicz.

Było w okresie Zielonych Świątek, kiedy rankiem 29 maja 1943 roku gestapowcy zaczęli wyciągać z cel więźniów i kierować ich na transport. Zajechała kryta ciężarówka, do której władowano 30 niczego nie przeczuwających skazańców. Samochód szybko opuścił teren więzienia, znikając za bramą i pojawił się ponownie po siedmiu minutach. Cały Pawiak był przekonany, że więźniów odtransportowano na pobliskie Stawki, gdzie była bocznica kolejowa. Samochód obrócił kilkakrotnie, za każdym razem dochodziły odgłosy dalekich strzałów. Ale nikt nie sądził, że to egzekucja. Tymczasem SS-mani i straż ukraińska wywoziła nieszczęsnych do getta, wypalone domy okazały się miejscem kaźni. A dla zatarcia śladów zwłoki pomordowanych spalono na stosach oblanych naftą. Przez parę dni czuć było w całym więzieniu dym i swąd palących się ciał. Była to największa egzekucja w historii Pawiaka — zginęło 600 skazańców.

Kiedyśmy się o tym dowiedzieli z Gajcym, nie mogliśmy spojrzeć sobie w oczy. Przekonani byliśmy, że i Zdzisław Stroiński został rozstrzelany. Tym większa radość, gdy zadzwonił do mnie 20 lipca, że jest na wolności i cieszy się odzyskanym życiem. Wyjeżdżał do Zwierzyńca. Poprzedniego dnia dzwonił do mnie zaraz po opuszczeniu Alei Szucha, ale mnie nie zastał. Nie było mnie w Warszawie. Dlatego nie spędziłem wraz z nim i przyjaciółmi tej nocy, w czasie której Stroiński opowiadał o swoich przeżyciach, w tej relacji ciągle się powtarzało słowo „śmierć" jakby młody poeta został nim urzeczony

„Dzień był drżący, gdy sprzęty stawały się abstrakcją i kaloryfer powiewając licznymi nogami jak rozgwiazda chwytał chłodne ludzkie ciała i kołysał łagodnie. Zanikał przy tym bardzo wolno — przestał istnieć dopiero koło południa" — zaczynał swą poetycką opowieść o Pawiaku Stroiński. Nosiła ona tytuł „Okno", dziwnie mało poetycki, ale w jakiejś mierze tłumaczący się przez swą metaforyczność. „Jeśli jest jakieś przemocą wyrąbane okno na rzeczy ukazujące rację bytu, to nie jest to okno ani uniesienia, ani nadziei, ani nawet miłości do próby, która naznacza ziemię, lecz o k n o n a p r a w o ś w i a t a, na głębszy porządek rzeczy. Tkwi w tym jedna wielka szansa i jedno wielkie niebezpieczeństwo. Szansę daje odporność na rozczarowanie, antyromantyczna świadomość ciężaru świata i bezduszności, jaka przygniata materię. O, z tej pozycji na pewno wielkie słowa nie będą rzucane ani nadaremnie ani na chybił trafił. Niebezpieczeństwo zaś tkwi w tym że cienkie przepierzenie tylko oddziela autora od f a t a l i z m u" — pisał Bronisław Łuski w listopadzie 1943 roku na łamach nr 13 „Sztuki i Narodu". Był to pseudonim wybitnego, bardzo cenionego przez nasze kręgi poety Jerzego Zagórskiego. Recenzja ukazała się niemal jednocześnie z publikacją „Okna", powielenie tomiku bowiem nastąpiło szybko. Wystarczył stos przygotowanego papieru powielaczowego, woskówki i maszyna do pisania.

24 października 1943 roku, w ową październikową niedzielę Stroiński przyszedł do mnie na Saską Kępę, przypominając mi o obietnicy, jaką mu dałem po jego wyjściu z Pawiaka, że mu pomogę w publikacji tomu. Sprowadził się następnego dnia. Stał nade mną dyktując swoje teksty, jego charakter pisma był tak niewyraźny, że jedynie on umiał prawidłowo odcyfrować rękopis. Poezja tych zwięzłych, niezwykle skondensowanych wizji, opartych na bogactwie skojarzeń przy pozornej prostocie uczyniła na mnie duże wrażenie.

Cenię zresztą jego twórczość, dość odrębną i wyjątkową formalnie. Tylko Bojarski i on posługiwali się tą niezwykle trudną formą, w której każde słowo, nieodpowiednio użyte groziło załamaniem obrazu. Odrzucając rym, a nawet i melodyjność, opierając swe liryki o strukturę prozy przy pełnym nasyceniu jej poezją, Stroiński zdobywał w ten sposób dystans w stosunku do rzeczywistości wojennej. A jednocześnie starał się ujmować ją w kategoriach filozoficznych, uważając, że „liryka to nie oddalanie się, odchodzenie, pastelizowanie, ale krzyk elementarny z najbardziej metafizycznego dna istoty", jak sam pisał w przygotowanej do druku polemice z tezami Andrzeja Trzebińskiego — Łomienia. Przejścia na Pawiaku, a później pobyt w Zwierzyńcu, gdzie powstało „Okno", atmosfera pewnego odosobnienia przyczyniła się do spotęgowania stanów egzaltacji. Pisał o tym w liście do Gajcego, przesłanym nie przez pocztę, lecz przez kogoś przywiezionym z Lubelszczyzny:

„Poza tym wrażenie, że wyszedłem stamtąd innym człowiekiem niż byłem, jak się okazuje, tylko wrażeniem pierwszej chwili. Świat, w którym żyję, jest zupełnie inny niż ten sprzed trzech miesięcy — ja się zmieniłem. Odnalazłem jakby dzieciństwo — spędzałem je w Zwierzyńcu w podobnych dość warunkach. Zmetafizycznialem jeszcze".

Chodził w wolnych chwilach po lesie z książką, albo, „ot tak sobie". Dręczyły go problemy metafizyczne, im poświęcał swobodny, wolny od dorywczych zajęć czas. Ciągle nie mógł się widać pogodzić z tym, że przetrwał. Uratowało go to, że w dowodzie miał jako miejsce zamieszkania i zameldowania właśnie Zwierzyniec. Tłumaczył się, że przyjechał do Warszawy z samego rana, a pod pomnikiem Kopernika znalazł się przypadkowo. Jego szczęściem było, że gestapo nie zrobiło rewizji w tym pokoiku studenckim na Nowym Świecie, gdzie w tapczanie leżał cały nakład „Sztuki i Narodu", zwanego w kręgach uniwersyteckich — SiNem. I że zdążył przed badaniami w Alei Szucha zniszczyć fo-

tografię Gajcego oraz wyświetlić błony w aparacie fotograficznym. Bo rola Stroińskiego pod pomnikiem Kopernika ograniczała się do funkcji kronikarza, to on swoją lustrzanką miał uwiecznić moment składania wieńca. Sprowadzony na Komendę Policji nie przyznawał się do udziału w akcji, a mdlejący z bólu Bojarski miał jeszcze tyle siły, żeby powiedzieć: „Skąd się pan tu wziął. Ja pana nie znam". Ten gest jednak nie pomógł i Stroiński znalazł się niebawem na Pawiaku.

„Okno" ukazało się w pierwszym powielaczowym wydaniu tylko w 125 egzemplarzach. Kiedy pytałem, dlaczego tak mało, bo przecież właściwie nasza praca niewiele wymagać będzie wysiłku, tyle że więcej odbijania, odpowiedział, że ze względu na specyfikę gatunku literackiego nie liczy na szerszy rozgłos. Było w tym oświadczeniu coś ujmującego przez swą skromność, aczkolwiek Chmura zdawał sobie sprawę ze swej popularności. On decydował o względach technicznych, poddałem mu się całkowicie. Przepisywałem woskówki, Stroiński odbijał je następnie na powielaczu. Przez dwa dni z zawziętością przesuwał czarnym wałkiem po siatce, zasmarowanej farbą. Na skutek prymitywnego w gruncie rzeczy powielacza sporo arkuszy zostało zniszczonych. Zdzisław był niesłychanie wymagający, nie było mu się co dziwić — szykował do publikacji swój pierwszy, i jak się niebawem okazać miało — jedyny tomik. Dzwonił Gajcy, dopytując się niecierpliwie, jak idzie robota. A potem przyjechał po Stroińskiego, przynosząc ze sobą walizkę, do której władowali odbite arkusze. Poszli w stronę ronda Waszyngtona, mijając po drodze olbrzymie topole, których cień kładł się na drogę. Most i wiadukt Poniatowskiego należały do tras niebezpiecznych, chętnie odwiedzanych przez patrole żandarmerii, które skwapliwie zatrzymywały przechodniów, tym bardziej objuczonych pakunkami. Był to, jak już podawałem, okres wzmożonego terroru, więc z ulgą dowiedzieliśmy się, powiadomiony telefonicznie, że wszystko przeszło w porządku.

„Okno" rozeszło się szybko, nawet o wiele szybciej, niż spodziewał się zaskoczony tym autor i ugruntowało pozycję Stroińskiego w środowisku młodej literatury. Ten poemat więzienny, związany z rzeczywistością i miejscem akcji, jedynie przez odległe, niemal aluzyjne skojarzenia, pozbawiony prawie realiów wojennych, przekazywał jednak klimat tamtych lat, ów pejzaż zagłady, który usiłował bezskutecznie zrozumieć wtrącony w niego człowiek.

„To tak będzie, jak na dnie kamienia, który ma pęknąć niedługo. Zastanawiać się czym się jest i byłem, a przyjdą uważne białe obłoki. Szukanie swojego miejsca między ludźmi i liśćmi obsypuje się jak żwir" — czytamy w siódmym fragmencie, noszącym w „Sztuce i Narodzie, nr 13, z listopada 1943 roku, tytuł „U kresu". Tytuł zresztą podany w nawiasach, sugerujący, że jest to jedynie sprawa czytelności redakcyjnej. Ton tragiczny, pełen pesymizmu, dominuje w tym fragmencie nasyconym bardziej niż inne pierwiastkiem metafizycznym.

„Po nieudałych próbach zrozumienia okien błądziłem między zierniochomialymi, zaszłymi bielmem domami, a cienkie szyby siadały mi na skroniach. Poprzez pnie drzew zwalonych Anna opuszczeniem zmęczonych powiek daje znak, że śnieg pada ciągle i będzie się wznosił coraz wyżej. Gdyby teraz odezwał się świerszcz, wyrzeźbiłby ściany w naiwny rysunek odległych wiązów i uśmiech matki prosty jak krzyż. Teraz Bóg tkwi mi na piersiach jak kleszcz i rośnie zwolna wypełniając się moją krwią. Jestem okrągłym kamieniem, który patrzy do góry. Gdybym nauczył się modlić, może stałbym się jak dym".

Nuta goryczy, zawarta w tych słowach, określa postawę autora. Zwątpienie przy jednoczesnym pragnieniu poznania istoty rzeczy pogłębia tragizm, bliski w swej wymowie egzystencjalizmowi, stwierdzający, że właściwie sens ma jedynie istnienie. Ale to za mało dla autora „Okna" i tego rodzaju rozterka jest podstawą dla coraz bardziej narastającego rozdźwięku między światem a pisarzem.

Sądzę, że pisarzem, do którego Stroiński świadomie nawiązywał, chociaż wyraźnie tego nie ujawniał, jest Conrad, ten wybrany spośród innych autor naszej młodości. Conrad, Dostojewski i Malraux, oto ci, którzy kształtowali naszą wyobraźnię i stosunek do świata. Jeśli, jak pisał Conrad, „najbardziej gorzkie sprzeczności i najokropniejsze powikłania lęgną się w każdej piersi zdolnej do uczucia i namiętności", to czym bronić się przeciwko zwątpieniu i rezygnacji? Stroiński nie odpowiadał na to pytanie, wskazywał na okoliczności, w jakich narastał konflikt w nim samym, nie poszedł w swych rozważaniach tak daleko jak Borowski w opowiadaniach z Oświęcimia. Historię zastąpił metafizyką. Stąd może człowiek w tym pejzażu zagłady czuje się zagubiony, zaś patos i tragizm, jakie są jego udziałem, wzmagają uczucie pesymizmu. „Popielata barwa pesymizmu spoczywa na świecie widzianym przez autora" — stwierdził w recenzji z „Okna" Jerzy Zagórski i tym samym określał cechę tej poezji.

„Okno" dzięki niezmordowanym staraniom Zdzisława Jastrzębskiego ukazało się w dwadzieścia lat po pierwszej, podziemnej edycji. Ten niewielki, w szarej, może zbyt dosłownej okładce tomik przyniósł wszystko, co napisał Stroiński. Niewiele tego. Poza poematem parę liryków prozą i parę wierszy, z których „Ród Anheilich" był znany przez zamieszczenie go w podziemnej antologii „Słowo prawdziwe", tak jak i „Śniły się szarże...". W istocie tomik objętościowo więcej niż skromny, ale tylko Baczyński i Gajcy zdolali obdarzyć nas większą ilością swych utworów. Stroiński pisał raczej mało, powiedział do mnie kiedyś: Wiesz, ja dużo nie napiszę w życiu". Myślałem wówczas, że mu chodzi o liryki prozą, gatunek, który mu najbardziej odpowiadał i w którym nikt nie mógł się z nim równać. Zresztą, część naszych wypowiedzi w tym okresie była niewątpliwie rzucana na wiatr, ot tak, jak się mówi, bez większej odpowiedzialności. Byliśmy młodzi, wściekle młodzi, jak to widzę z oddalenia dwudziestu lat. Stroiński był nieustannie zajęty, może i to wpływało na rzadkość jego publikacji. Myślę jednak, że był podobny rzeźbiarzowi, który odłupuje z kamienia zbędne części aż po wyłonienie się kształtu ostatecznego. Jest to robota mozolna i wymagająca wysiłku. Stroiński nie uznawał łatwizn ani w swojej twórczości, ani w cudzej, miał charakter, a to czasem warto bardziej cenić niż talent czy poglądy. Miał charakter nie tylko jako człowiek, ale przede wszystkim jako artysta. Jego dzień powszedni, z wyjątkiem tych nielicznych wypadów na prowincję — ale i tam działał na rzecz podziemia — nie dawał mu wytchnienia. Polonistyka, prawo i podchorążówka zajmowały mu sporo czasu i obarczały umysł. Na literaturę zostawało mu mniej wolnych chwil aniżeli powinien był jej poświęcać. „Nie jeden dzień, nie jedno słowo mamy za sobą w drodze naszej" — pisał Gajcy w wierszu poświęconym „Markowi Chmurze". Utwór ten miał znamienny tytuł „Przyjacielowi w drodze". Wspólnej poetyckiej drodze, której niebawem nadszedł kres.

O stosunku do Gajcego mogą świadczyć słowa Stroińskiego, jakie wypowiedział do mnie, niebawem po bliższym naszym poznaniu się: — „Jeśli moje życie coś warte, to w opiece nad Tadeuszem". Ile było w tym młodzieńczej przesady, nie wiem. Faktem jest, że troszczył się o niego jak o brata. Nawet będąc w Zwierzyńcu, pisał w liście do niego:

„Chory byłeś zresztą, gdy wyjeżdżałem. Ty strasznie nie uważasz na siebie — dziecinny taki jesteś pod tym względem... W ogóle to powinieneś się ożenić albo co, żeby mieć stałą i solidną opiekę. Napisz mi bardzo dużo o sobie".

Może kogoś nawet i śmieszyć ten egzaltowany ton, jest w nim jednak szczera troska o przyjaciela. Kiedy byli razem, Stroiński rzeczywiście opiekował się Gajcym, cieszył z każdego jego wiersza, poddawał je analizie i długim dyskusjom, jakby to był jego własny utwór. Pełen szlachetności, wdzięku i troski o bliskich był wspaniałym przyjacielem. Oddanym na życie i śmierć. Stanowili z Gajcym nierozłączną parę, jak Kastor i Polluks. Żartowałem z nich, że będą musieli się rozstać, kiedy się pożenią, bo i takie plany robili. W lipcu 1944 roku zamieszkali wspólnie w Swidrze, ulica, przy której wynajęli pokój, była zakurzona i stanowiła jedną z centralnych arterii tego osiedla. Spędziłem u nich parę dni, były to jedne z najszczęśliwszych chwil w moim życiu. Zamiast herbaty piliśmy skrzyp lub bawarkę, i to nie z garnuszka, lecz z jakiegoś wyszczerbionego słoiczka. O serwecie nie było mowy, zresztą nikt z nas nie zwracał uwagi na tego rodzaju drobiazgi. Nie opuszczał nas humor i — poezja.

Naraz wszystko zaczęło się zmieniać tak gwałtownie, że wydawało się, iż lada chwila nastąpi koniec wojny. Stroiński wybrał się jeszcze do Zwierzyńca, ażeby zobaczyć się z rodzicami. Wrócił w zdartych butach, przedostał się przez Dęblin i Radom okrężną drogą do Warszawy. W mieście panował chaos i stan podniecenia, ale silne patrole żandarmerii krążyły jeszcze po ulicach, zaś na wieżyczkach mostu i wiaduktu Poniatowskiego wojskowi cieśle szykowali stanowiska dla artylerii przeciwlotniczej.

Telefony nie działały. Nie wiedziałem, co się z nim dzieje. I sierpnia 1944 roku wpadłem do jego studenckiego pokoiku, jednak Zdzisława Stroińskiego nie było. „Chmura" udał się z rana na punkt. Jak się później dowiedziałem, zaraz po mnie wpadł na Nowy Świat Gajcy. Kiedy usłyszał pierwsze strzały powstania, przedarł się na Stare Miasto, gdzie go oczekiwał przyjaciel. Niezadowoleni z nieruchawości swojego oddziału, przenieśli się dwaj poeci do baonu „Sosna I".

Ogromne pięciopiętrowe kamienice przy ulicy Przejazd rygiowały dostęp do ulicy Długiej. Kiedy hitlerowcy dotarli na Plac Bankowy, zwany w czasie powstania Placem Stefana Starzyńskiego, nie mogli wyprzeć placówek powstańczych z ulicy Przejazd. 16 sierpnia z rana przedostali się piwnicami z pałacu Mostowskich i założyli ładunek w domu przy ulicy Przejazd 1/3. Ogromny cień przesłonił niebo. Te kamienice wyleciały w powietrze, grzebiąc swym ciężarem obrońców. Dowódcą wysadzonej placówki był podchorąży „Chmura". Ciało jego znaleziono po prawie trzech latach wśród gruzów.

I nie ma na Saskiej Kępie także tych dwóch wspaniałych topoli nadwiślańskich w pobliżu mojego domu. Niemcy wysadzili je również w powietrze. W połowie sierpnia 1944 roku, gdy przesłaniały im pole ostrzału.

**Lesław M. Bartelski**

Z książki „W kręgu bliskich", która ukaże się w roku przyszłym nakładem Wydawnictwa Literackiego.

**ZBIGNIEW FRĄC**

**Kierownik Wydziału Kultury Prez. WRN w Lublinie**

# Szanse kultury

NOWY sezon kulturalny rozpoczął się: w województwie lubelskim zainaugurowała go uroczystość w dniu 19 września w Krasnymstawie, w kraju — w dniu 3 października w Kędzierzynie. Obie wspomniane uroczystości przebiegały pod znakiem oceny dorobku poprzedniego roku kulturalno-oświatowego i przedstawienia programu działalności kulturalnej na rok najbliższy.

Jakie więc były zasadnicze dokonania roku ubiegłego w dziedzinie kultury w naszym województwie? Jakie powinny być główne posunięcia, które pozwolą na dalszy harmonijny i celowy rozwój lubelskiej kultury?

**Zacznijmy od bilansu. Tworzy go kilkadziesiąt imprez kulturalno-oświatowych, z których co najmniej kilka swoim charakterem i rangą wybiegało poza nasz region; wymienię tu XIV Zjazd Związku Literatów Polskich, centralną inaugurację roku kulturalno-oświatowego w Chełmie, a także zjazd poetów ludowych. Wiele nagród i centralnych wyróżnień, często pierwsze i drugie miejsca, jakie uzyskał nasz ruch amatorski i placówki województwa z tytułu ogólnopolskich konkursów i festiwali — uzupełnia obraz naszego życia kulturalnego.**

Inny element tego obrazu to szeroko podjęta przez społeczeństwo naszego województwa akcja czynów społecznych w zakresie inwestycji i odbudowy placówek kulturalnych. Sumy zaś zgromadzonych środków społecznych wzrosły w ub. r. blisko dwunastokrotnie w stosunku do 1962 r., a liczba budowanych bądź remontowanych obiektów z 16 do 77. W okresie tych lat podwojeniu uległa też pomoc finansowa ze strony państwa.

Jesteśmy województwem, w którym działa najwyższa liczba, tj. ponad 23 proc., społecznych komitetów budowy i remontów obiektów kulturalnych w kraju. Czyny społeczne ludności, zwłaszcza na wsi, spotęgowały więc wysiłek inwestycyjny państwa i wzbogaciły bazę materialną resortu kultury, wciąż może jeszcze szczupłą, ale przecież stale powiększaną o nowe obiekty, a wśród nich i te oddane do użytku w ubiegłym roku kulturalno-oświatowym, m. in. powiatowe domy kultury w Chełmie i Tomaszowie oraz 12 wiejskich obiektów kulturalno-oświatowych i 4 obiekty zabytkowe.

**Budowa ze środków SFOS zespołu szkół artystycznych w Lublinie, zapoczątkowana położeniem w dniu 22 września br. kamienia węgielnego — stwarza wraz z przekazanym już do użytku Liceum Technik Plastycznych w Nałęczowie odpowiednie warunki do artystycznego kształcenia młodzieży. Oddane już w bieżącym roku kulturalnym Dom Kultury w Milejowie i Brama Krakowska w Lublinie, wreszcie 13 obiektów kulturalnych i zabytkowych, przede wszystkim na wsi, które zostaną udostępnione społeczeństwu w późniejszych miesiącach obecnego roku kulturalnego — to dalsze rozszerzenie bazy materialnej i możliwości naszego działania.**

U progu nowego roku kulturalnego na lubelskiej wsi będzie działać 1600 placówek, w tym m. in. 274 świetlice 24 wiejskie domy kultury, około 450 klubów „Ruchu" i „Rolnika". Około 50 proc. tych placówek posiada różnego rodzaju zespoły artystyczne i oświatowe, których łącznie działa już dzisiaj 2393.

## 1000 klubów 1000 książek...

Pod względem typu placówek dominują „ośrodki przyszkolne". Na dalszym miejscu znajdują się kluby „Ruchu" i „Rolnika". Liczba klubów na koniec bieżącego roku wzrośnie do 600. Placówki te ze względu na doniosłą rolę, jaką mogą odegrać — zasługują na szczególną uwagę. Dalszy ich rozwój zależy w istotnej mierze od korektury, jaką należy przeprowadzić jeszcze w roku bieżącym w zakresie sieci i rozmieszczenia obiektów kulturalnych. Należy likwidować słabo pracujące świetlice, które tylko formalnie spełniają swoje funkcje, przeznaczając uzyskane w ten sposób pomieszczenia na organizację klubów, środki zaś finansowe na inne cele kulturalne. W każdym wypadku akcja ta musi być prowadzona rozsądnie, decyzje zaś likwidacji świetlic powinny podejmować gromadzkie rady narodowe. Akcja ta powinna w skali województwa przynieść około 150 nowych lokali i przy wygospodarowaniu dalszych 250, zwłaszcza w powiatach o najniższej liczbie placówek, w konsekwencji doprowadzić w przyszłym roku do organizacji 1000 klubu na Lubelszczyźnie.

**Wzrostowi liczbowemu placówek k. o. towarzyszy odpowiednie wyposażenie w sprzęt techniczny i różnego rodzaju pomoce. Jeślibyśmy jednakże chcieli od tej strony spojrzeć na nasze możliwości, są one w niektórych dziedzinach znacznie skromniejsze, aniżeli te, którymi dysponują inne województwa. Pod względem liczby placówek kulturalno-oświatowych jesteśmy województwem wiodącym, na co wskazuje fakt, że około 15 proc. placówek, a więc bez mała co szósta z działających na wsi polskiej — znajduje się w województwie lubelskim. Przytaczam te dane dla pełniejszego uświadomienia dysproporcji, jaka istnieje między efektem a środkami, o których się często zapomina.**

Co prawda w nielicznych tylko wypadkach pod względem wyposażenia i środków finansowych znajdujemy się poniżej średniej krajowej — niemniej jednak ogólne warunki naszego rozwoju, powodowane spuścizną, znacznie trudniejszym startem w dwudziestoleciu powojennym — zmuszają nas do bardziej intensywnych wysiłków.

Szczególnie niepokoi tu, jeden z najniższych w kraju, wskaźnik wydatków na zakup książek, przy jednoczesnym dużym wskaźniku czytelnictwa i poważnie rozbudowanej sieci bibliotek. Mamy bowiem już w tej chwili pełną sieć bibliotek gromadzkich, a w blisko 60 proc. wsi działają punkty biblioteczne. Taki stan wymaga podjęcia energicznych kroków, by wspomnianą dysproporcję jak najszybciej zlikwidować. Skłania on też do szukania rozwiązań, które przewidują gromadzenie księgozbiorów sumptem społecznym, co znalazło wyraz w haśle, które podał na inauguracji w Krasnymstawie przewodniczący Prezydium WRN, Paweł Dąbek: „Każdy powiat gromadzi tysiąc książek na Tysiąclecie Państwa Polskiego".

Charakterystyczne jest też, że wyposażenie w środki masowego przekazu, najłatwiej dostępne, takie jak radioaparaty i telewizory, jest u nas stosunkowo niskie. Telewizorami np. na terenie wiejskim dysponuje 48 proc. placówek, przy średniej krajowej — 51 proc., radioaparatami zaś — 65 proc. przy średniej krajowej — 64 proc. Dwukrotnie większą natomiast liczbą dysponują nasze placówki w porównaniu ze wskaźnikami ogólnokrajowymi, jeśli chodzi o rzutniki, epidiaskopy, projektory filmowe i magnetofony. Wskaźniki powyższe są bardzo wymowne. One też powinny kształtować politykę zakupu sprzętu do placówek kulturalno-oświatowych.

**Jeśli się więc uwzględni określony stan naszego posiadania oraz niezwykle szybki, jeden z najszybszych w kraju, liczbowy rozwój placówek kulturalno-oświatowych, jasne się stanie, że utrzymaniu tego przodownictwa musi towarzyszyć wyraźne poczucie troski o warunki materialne. Postulat ten stanie się ostrzejszy, jeśli dodam, że przy obecnie istniejącej liczbie placówek kulturalno-oświatowych i zespołów artystycznych na 1 poradnię powiatową przypadają 82 placówki i 133 zespoły artystyczne, na jednego zaś etatowego pracownika poradnictwa — 52 placówki i 85 zespołów.**

Przytoczony materiał liczbowy mówi o rzeczywistych szansach rozwoju naszych placówek kulturalno-oświatowych na przyszłość. Są to jednakże dane przeciętne, przykrywające dysproporcje w wyposażeniu placówek k. o. wewnątrz województwa. Niektóre z tych wskaźników, korzystne dla całego województwa, zakrywają potrzeby jednych powiatów, przysłaniając równocześnie wysiłki i sukcesy innych. (Podam tu dla przykładu, iż rozpiętość wydatków na 1 mieszkańca na zakup książek do bibliotek waha się w ostatnim roku od 50 gr w pow. kraśnickim do 3 zł w janowskim. Nadto: tylko Chełm, Janów i Włodawa usytuowały się w wydatkach na książkę w przeliczeniu na 1 mieszkańca powyżej średniej krajowej). Szczegółowe więc oceny stanu posiadania poszczególnych powiatów powinny tu stanowić punkt wyjścia dla szukania skutecznych kroków zaradczych.

## Model działania

**Rozpatrując strukturę naszego życia kulturalnego można stwierdzić jego nierównomierne natężenie w różnych rejonach województwa, oceniając zaś hierarchię poszczególnych zamierzeń kulturalnych można dojść do wniosku, że istnieje tu konieczność koncentrowania wysiłków na określonych odcinkach oraz zwalczania głównych niedomagań rzeczywistości. Z tych właśnie względów wypada wysunąć na naczelne miejsce te dziedziny, które gwarantują szeroki zasięg społeczny i mogą się przyczynić najskuteczniej do dalszego rozwoju kultury.**

Wydaje się, że postulatem nr 1 w tej mierze jest konieczność opracowania koncepcji działania przez każdą z placówek k. o., a przede wszystkim instytucję, przedsiębiorstwo i jednostkę wojewódzką, na okres kilkuletni. Koncepcja ta musi zakładać wzajemne sprzężenie w ramach resortu kultury, traktowanego jako jeden mechanizm, składający się z elementów pracujących na fali jednej długości, a nie hermetycznie zamkniętych organizmów, wiodących odrębny żywot.

Przedstawiając praktycznie te zagadnienia, chodzi o taki program działania i jego realizację, który pozwoliłby na jak najpełniejsze wykorzystanie wszelkich już istniejących możliwości lokalowych, kadrowych i materialnych i który umożliwiłby jak najbardziej sensowne spożytkowanie wszelkiej inicjatywy, tkwiącej w ambicjach poszczególnych ludzi i całych grup społecznych. Mamy więc na myśli nie tylko środki finansowe, ale wszystkie te elementy, które składają się na wszechstronną działalność kulturalno-oświatową.

**W programie i warunkach realizacyjnych rozwoju działalności kulturalnej niezwykle istotne jest pełniejsze włączenie zawodowych placówek kulturalnych. Udział tych placówek, ich stały głos we wszystkich sprawach stworzą dodatkowe szanse aktywizacji kulturalnej. Życie codzienne dostarcza niezliczonych argumentów na rzecz postulatów skupienia i koordynacji różnorodnych poczynań w zakresie upowszechniania wartości kulturalnych. Argumentów — zarówno pozytywnych, jak i negatywnych. Pozytywnych, chociażby w dziedzinie rozwoju życia klubowego na wsi, gdzie właśnie wspólnym wysiłkiem montuje się sieć placówek. Negatywnych — chociażby w dziedzinie upowszechnienia plastyki i muzyki, gdzie nie zawsze najlepsze wykorzystanie środków działania i działanie bez bliższego obopólnego porozumienia się różnych ogniw administracyjnych i twórczych — nie może, niestety, upoważnić do stwierdzenia, iż mamy tu jednolity plan akcji kulturalnej. Chodzi więc o taki model działania, który przy ogromie zagadnień zarejestrowanych pod nazwą „kultura" maksymalnie wykluczałby rozdrabnianie wysiłków i działanie wyłącznie po „swojej" linii.**

W tak proponowanym modelu pracy mieści się też postulat bardziej umiejętnego i szerszego wykorzystania przez placówki k. o. środków masowego przekazu: radia, a przede wszystkim telewizji. Należy je traktować jako niezbędny instrument i środek upowszechnienia kultury. Telewizja nie wyklucza, nie zastępuje i nie likwiduje „tradycyjnych" instytucji kultury. Przeciwnie: pobudza do czytelnictwa, rozwija zainteresowania, modernizuje ruch amatorski, przygotowuje widza teatralnego, bywalca sal koncertowych i galerii sztuki.

**Jednym z zasadniczych zadań w dziedzinie upowszechnienia dóbr kultury powinno być też dążenie do nasilenia nabywania i korzystania z dzieł sztuki, głównie w zakresie malarstwa, plastyki i grafiki. Należy więc bardziej zainteresować tym zagadnieniem zakłady pracy i przedsiębiorstwa, udostępniać nadal jak najszerszym masom widowiska sceniczne i muzyczne, zwłaszcza plenerowe, przez organizowanie na szerszą niż dotychczas skalę koncertów muzycznych, imprez estradowych i widowiskowych. Dużą rolę ma tu pełniejsze wykorzystanie wartości artystycznych i społecznych muzyki, przy założeniu współdziałania w tej mierze wszystkich instytucji i placówek rozwijających tę działalność, poczynając od naszej Filharmonii poprzez szkoły i ogniska muzyczne, na ruchu amatorskim kończąc.**

Równolegle z tym powinny się rozwijać wysiłki w dziedzinie estetyki życia codziennego, polegające m. in. na celowym i harmonijnym urządzeniu miejsc pracy, przestrzeganiu zasad nowoczesnej urbanistyki, propagowaniu sztuki użytkowej, wyrobów naszego rzemiosła itp. Trzeba więc, by podjęte w tej mierze poczynania powiatowych domów kultury były znacznie energiczniejsze i energiczniej wspierane przez zainteresowane koła plastyków i akcję upowszechnieniową Biura Wystaw Artystycznych. Niezbędna jest tu też pomoc naszych liceów plastycznych.

W niniejszym artykule przedstawiłem tylko niektóre uwagi związane z działalnością kulturalno-oświatową inaugurowanego sezonu. Można by dodać do tej listy wskazań, zamierzeń i sugestii jeszcze wiele innych, ale nie jest to w tej chwili konieczne. Szereg bowiem spraw będzie precyzowanych na kolejnych spotkaniach i naradach, podczas których sformułowania ogólne, tezy i sygnalizowane zamierzenia zostaną przetłumaczone na język konkretnych decyzji. W każdym jednak wypadku, tak jak i dotychczas, warunki realizacji naszych wszystkich poczynań będą zależeć od umiejętności działaczy kulturalnych oraz ich wiedzy i ofiarności, od pozyskania zastępów nowych społeczników i aktywności społecznych środowisk. Wiadomo bowiem, że niewiele będziemy mogli zdziałać w kulturze, jeśli będzie ona pozbawiona sojuszników i społecznego zaplecza.

*Ireneusz J. Kamiński*

# Plastycy i ŻUBRY

WYSŁALI zwięzłe informacje do prasy centralnej, lecz do dziś nie ujrzeli ich w druku. Jeżeli milczenie prasy warszawskiej można jakoś wytłumaczyć kanikułą opóźniającą refleks redaktorów oraz „prowincjonalnym" nadawcą, to jednak zignorowanie imprezy przez miejscowy dziennik wymyka się racjonalnej ocenie. A przecież rzecz sama w sobie była godna szczególnej uwagi; także ogólnopolski charakter nadawał jej wysoką rangę.

No tak, ale również sami organizatorzy nie dopatrzyli kilku drobnych pozornie spraw: po przyjeździe do Białegostoku na próżno szukałem plakatu imprezy, a pytania moje o taką formę reklamy spotkały się jedynie ze zdziwieniem. W rezultacie miernej propagandy I Ogólnopolski Plener Białowieski, zainicjowany przez Wydział Kultury wspólnie z białostockim ZPAP, nie stał się tematem dnia, nie znalazł tzw. społecznego oddźwięku u białostockich obywateli, co potwierdziła m. in. pani z recepcji hotelu miejskiego „Cristal" zaskoczona moim pytaniem. A przed hotelem stały szeregi wozów krajowych i zagranicznych, które zręczna reklama mogłaby skierować nie tylko do Białowieży, ale także na p l e n e r b i a ł o w i e s k i.

Te drobne niedociągnięcia, z reguły towarzyszące niemal każdej pierwszej i z rozmachem pomyślanej imprezie, nabierają jednak innego wymiaru, jeśli się weźmie pod uwagę ich aspekt propagandowy i popularyzatorski. Wspomniałem już o „zainteresowaniu społecznym", teraz kilka słów o uczestnikach, a raczej o tym, w jaki sposób ściągnięto ich do Białowieży. Przewidywano przyjazd 40 osób — plastyków, krytyków i przedstawicieli nauki. Łącznie z proporcjonalnie najliczniejszą grupą gospodarzy plener zgromadził 30 osób, lecz żadnego krytyka, czy historyka sztuki. Dlaczego? Dlaczego trzeba było wysłać w sumie 200 zaproszeń (trzykrotnie), aby w końcu uzyskać potwierdzenie przyjazdu od niewielkiej grupy, wśród której, dodajmy to dla sprawiedliwości, było kilku znanych i cenionych twórców?! Prasa nie dopisała — to jedno wytłumaczenie. Ale główną przyczyną trudności „kadrowych" był według mnie, nieszczęśliwy wybór czasu trwania pleneru, którego otwarcie zbiegło się z zakończeniem „Biennale Form Przestrzennych" i z wystawą „Konfrontacje 65" w Elblągu oraz z rozpoczęciem pleneru koszalińskiego posiadającego już pewną tradycję i wypróbowaną markę. Nie ma chyba potrzeby wyjaśniać, jakie stąd wnioski wypływają na przyszłość. Dodatkowo warto też pamiętać, że warunkami naturalnymi Białowieża bije na głowę pozostałe ośrodki. Wszystko inne zależy od sprawnej organizacji, która rozpoczyna się od propagandy. A plener, który w założeniu miał się przyczynić do popularyzacji sztuki, sam nie został odpowiednio spopularyzowany, za co zresztą trudno winić samych bezpośrednich organizatorów.

## Cel czy środek?

W wypowiedziach niektórych urzędników pozostających w takim, czy innym kontakcie z plenerem białowieskim uderzyło mnie ciągłe podkreślanie znaczenia pleneru, ale głównie jako środka ożywienia ruchu turystycznego na Białostocczyźnie! Wyrozumiały jestem dla takiego uzasadnienia, za którym kryje się ekonomia, ale sądzę, że priorytet powinny mieć sprawy artystyczne, bo dopiero wówczas można oczekiwać powodzenia następnych plenerów i obecności wielu wybitnych twórców krajowych. A przecież w rezultacie te dwa czynniki wzajemnie się warunkują: uzyska plener

*(Dokończenie na str. 6)*

*(zdjęcie autora)*

*Władysław Filipiak w plenerze.*

TADEUSZ BARTOSZ

# Świętokrzyska młodość

1.

W DNIACH wrześniowych, Kielce odprawiały ceremonie, imprezy, widowiska i biesiady w Tygodniku Świętokrzyskiej Kultury.

Nie pierwszy rok obchodzimy w Kielcach to szczególne — bo barwne, ciekawe, pełne wielu różnych żywych treści święto. I każdego roku coś innego w nim jest, nowego, twórczego, czym Ziemia Kielecka jej kultura, wzbogaciła się.

Te Dni września 65, były jakieś młode, młodzież w nich prym wiodła. Wojewódzka organizacja Związku Młodzieży Socjalistycznej wzięła na siebie cały trud ułożenia programu, dopilnowała i chyba dobrze — aby każda impreza wyszła jak najlepiej.

Więc najpierw w Klubie Dziennikarzy. Nazwano tę biesiadę Centralną Konferencją Prasową. Niezręcznie, ale przecież to nie pozbawiło spotkania jego dobrej i chyba zamierzonej i spodziewanej przez organizatorów atmosfery. Mówił o sprawach kieleckiej organizacji socjalistycznej młodzieży jej sekretarz, Stanisław Gleń. O Kielecczyźnie kulturalnej. O młodzieży z literackiej grupy „Ponidzie", której utwory w pięknie wydanym tomiku właśnie znalazły się na półkach kieleckich, a chyba i nie tylko kieleckich księgarni.

Sekretarz Komitetu Wojewódzkiego ZMS, Stanisław Gleń — sam zresztą jest młodym poetą i członkiem „Ponidzia" — nieraz drukował swoje wiersze na łamach „Kameny", „Magazynu Niedzielnego" kieleckiego „Słowa Ludu" i innych pism.

I wreszcie — Waldemar Babinicz — pisarz najbardziej chyba związany z Kielecczyzną, najwięcej o niej piszący. Mówił tak, jak pisze, prosto, wzruszająco. Mówił o wielkiej i pięknej tradycji społecznikowskiego działania w kulturze. Przed wojną jeszcze mówiło się o „Zagończykach kultury" w Kielecczyźnie, o wielu niezmordowanych zapaleńcach, organizujących świetlice wiejskie, o amatorach, historykach i archeologach zbierających wszystko, co uwieczniły księgi i co kryje ziemia.

Kiedy katowicka telewizja wystawiła „Przepióreczkę" graną przez kielecki Teatr im. Żeromskiego, do rozgłośni TV przyszło wiele listów od ludzi wszystkich pokoleń — i właśnie z Kielecczyzny. Pisali w nich ludzie o najpiękniejszych duchowych przeżyciach i wzbogaceniach, jakich dostarczyło im obejrzenie na szklanym ekranie wielkiej sztuki Żeromskiego.

— *Byłem niedawno* — mówił Waldemar Babinicz — *w jednym z państwowych gospodarstw rolnych w powiecie włoszczowskim. Mówiłem tam o krakowskim Uniwersytecie Jagiellońskim. Gdy skończyłem, zaczęli do mnie przychodzić robotnicy rolni. Dawali mi po dwadzieścia złotych. Dla kogo to? Niech pan przekaże te nasze skromne złotówki dla Jagiellońskiego Uniwersytetu, aby łatwiej mu było dalej rozwijać się, kształcić coraz więcej naszych córek i synów. To jest wzruszające, to mówi o głębokim rozumieniu spraw kultury, wiedzy, nauki, sztuk pięknych, wśród zwykłych, ciężko codziennie pracujących ludzi.*

Był Waldemar Babinicz w którąś z żniwnych sierpniowych niedziel na wsi, w koneckim powiecie. Przyszedł sołtys, stanął przed pisarzem na baczność — co mamy robić — dostaliśmy dziś akurat maszynę — czy młócić, czy zebrać się, aby pana posłuchać...

Albo ten młody marynarz, który napisał do „Ponidzia", tam szukając rady na swoje najserdeczniejsze rozterki — czy może napisać do swojej ukochanej dziewczyny list — wierszem. Bo i ona do niego pisze listy wierszem...

To wzrusza, mówi jak głęboko w ludziach, nawet nie uczonych, tkwi tęsknota do piękna, do bogatego wewnętrznego życia, do przeżyć, które człowieka uszlachetniają, dodają mu ikarowych skrzydeł.

2.

Opoczno ze swym niepowtarzalnym pięknym folklorem zostało wyróżnione, wchodząc w skład regionów obchodzących Tydzień Folkloru Polskiego, który trwał w dniach od 5 do 12 września br.

Opoczyńskie Dni Folkloru zakończyły się w przeddzień rozpoczęcia Świętokrzyskich Dni Kultury. Myślę głośno, ale — gdyby to ode mnie zależało, organizowałbym te pierwsze, w jednym czasie z drugimi. I tu zahaczam o sprawę, która powoduje ból serca. Ciągle bowiem nie mogę opędzić się myśli, nagabującej natarczywie: dlaczego w ogóle Świętokrzyskie Dni Kultury zostały zawężone tylko do Kielc? Dlaczego nie wyszły szeroko poza ich rogatki?

Kiedy w niedzielę, 19 września kończyły się Dni, w Radomiu rozpoczęły się uroczystości 810 rocznicy istnienia „grodu nad Mleczną". Dlaczego tak? Trochę więcej zgranego wysiłku — i już te trzy imprezy można było połączyć, zachowując ich odrębność, spiąć je klamrą jednej wspólnej KULTURY — duchowej, materialnej, ludowej, jakiej chcecie.

I dalej jeszcze. To kieleckie święto nazywamy Świętokrzyskimi Dniami Kultury. Jakież dalsze obszary działania — w Słupi i Rudkach — wokół starożytnego świętokrzyskiego hutnictwa, w Ostrowcu, Starachowicach — materialna kultura rozwoju nowszego hutnictwa i odlewnictwa, w Ćmielowie — stare i nowe kunszty porcelanowe, w Pińczowie i Rakowie — kultura, przepiękna poezja i drukarska technika Braci Polskich, w Opatowskich Krzemionkach — górnicza kultura naszych przodków z neolitu, w Wiślicy, w Żernikach, w Żarnowie, w Czarnolesie i Kadłubkowym Jędrzejowie...

Zagalopowałem się. Powiedzą mi skąd marzycielu, weźmiesz na to pieniądze... Prawda, ileż to razy stajemy przed dylematem, o którym rzeczywistość nam skrzeczy — czy odbudować zamek w Krzyżtoporach, czy — dom postawić nowy dla stu ludzi, albo szkołę dla dzieciaków naszych.

Ale — co to szkodzi pomarzyć sobie. Gdyby tego nie było, krzyż pański, powiesić by się przyszło.

3.

Kielecczyzna jest coraz częściej odkrywana przez pisarzy. Najczęściej bywają tu i piszą o Ziemi Kieleckiej pisarze zgrupowani przy warszawskim wydawnictwie „Iskry". Już w ubiegłym roku, kieleckiej wojewódzkiej organizacji Związku Młodzieży Socjalistycznej, Wydziału Kultury kieleckiej Miejskiej Rady Narodowej i rzeczonych „Iskier" staraniem — w Dniach Oświaty, Książki i Prasy, odbył się tutaj „Dzień Pisarzy „Iskier".

To był dobry początek. Przyjechało wówczas 22 pisarzy i dziennikarzy z różnych twórczych środowisk kraju, twórczością swoją związanych z naszą ziemią. W parku kieleckim był kiermasz. Trzeba było widzieć kielecką młodzież, ludzi dorosłych. Kupowali książki, każdy tam miał jakiegoś swojego pisarza, to przyjemność, może snobizm, może duma szlachetna — mieć książkę z dedykacją tego, który ją napisał, jakby przyjaciela bliskiego, dobrze, intymnie z tego co pisze znanego...

*„Kielce zrobiły dobry początek* — pisał wówczas dyrektor „Iskier" — *dobry, gościnny, niezwykle serdeczny. Młodzież kielecka, robotnicy, nauczyciele — wszyscy obecni na spotkaniach przekonywająco udowodnili, że niezwykle bliska im jest sprawa współczesnej polskiej literatury. Warto, naprawdę warto, by przykład Kielc stał się zachętą organizowania przez wydawców wspólnie z terenowymi instancjami organizacji społecznych, podobnych Dni i w innych miastach Polski".*

Kielce były konsekwentne. W tych Świętokrzyskich Dniach Kultury czynny udział wzięły wszystkie niemal organizacje społeczne i instytucje. Prace swoje wystawiali fotograficy i plastycy — nie tylko kieleccy, ale również lubelscy, rzeszowscy i białostoccy. Występowały orkiestry i zespoły ludowe.

I wreszcie, w sobotę przyjechali pisarze „Iskier": *Krzysztof Kąkolewski, Józef Prutkowski, Natalia Rolleczek, Krystyna Żywulska, Anna Wysznacka, Ernest Brill, Jerzy Zieleński, Jerzy Krzysztoń.*

Anna Wysznacka znana jest ze swych „Listów Karoliny" w „Kobiecie i Życiu". Jest i redaktorką „Walki Młodych". Napisała książkę „Mała miłość?". To owoc owych „Listów Karoliny". Problemy obyczajów, wychowania, kultury współżycia i stosunków międzyludzkich. Mowa tu głównie o młodym pokoleniu, które przecież, jak to codziennie widzimy, buntuje się przeciwko starym normom, a nie zawsze potrafi dostrzec nowe rozwiązania moralne, dokonać w nich mądrego a więc właściwego wyboru.

Byłem na spotkaniu Anny „Karoliny" dwojga imion w kieleckim liceum pielęgniarskim. Opowiadała pani Anna dziewczynom, które przecież w tym wieku sprawy „tych rzeczy" uważają za najważniejsze — właśnie o tych ich najważniejszych „rzeczach". Słuchały pilnie, a potem pytały. Nie wiem, czy w tym liceum odbywają się lekcje z takich dziedzin, ale to była naprawdę dobra, pasjonująca dziewczęta lekcja.

Świętokrzyskie Dni Kultury stały się więc doroczną, największą kulturalną imprezą.

KONRAD BIELSKI

# Nie zdążył...

TUŻ za dawnym Berensem, u stóp góry Trzech Krzyży, przycupnął oryginalny drewniany domek. Wybudowany z ciemnego drzewa, o dużym dachu, który jak wielką czapką przykrywa małe izdebki — przypomina bajkowe stwory: chatynkę na kurzych nóżkach, lub bardziej jeszcze domek Baby Jagi z pierników. Dokoła mały ogródek, pod ścianami malwy i dużo różnorodnego kwiecia, stanowią pachnącą barierę, która odgradza go od bardzo hałaśliwego w tym miejscu otoczenia.

Tak mieszka inżynier Karol Siciński *) z małżonką i tam właśnie odpoczywa po bujnym i pracowitym okresie swego życia.

Ten człowiek, który ochronił od zagłady szereg zabytków i pobudował najładniejsze domy w Kazimierzu — dla siebie postawił taki domek z kart: oczywiście, że to wszystko jest stylowe, mądrze pomyślane i pięknie wykończone — ale jakże malutkie i skromne. A był czas, że Siciński zamieszkiwał najsłynniejszą kamienicę w Kazimierzu, o fasadzie najwspanialszej bodaj jaka pozostała w Polsce z tych czasów, nad której urodą znawcy i snobi zachłystywali się w pieniach pochwalnych o której pisano studia i monografie — jednym słowem w kamienicy Celejowskiej. Tam w obszernych izbach mieściła się pracownia konserwatora i oczywiście urzędował i mieszkał sam konserwator w osobie Karola Sicińskiego. Może to pomieszczenie nie było zbyt przytulne i oczywiście pozbawione nowoczesnych wygód i urządzeń — ale powaga i dostojeństwo wiało ze starych murów i ozdabiało specjalnym splendorem lokatora tego domu. To też wydawane przezeń zarządzenia cieszyły się absolutnym autorytetem i choć niejednemu były nie w smak, musiały być skrupulatnie wykonywane.

Tak jak legendarny Siciński, poseł upicki, który przeszedł do historii ze smutnej racji zerwania sejmu przez swoje słynne „veto" — tak jego imiennik (może i potomek) wsławił się w Kazimierzu swoim: „nie pozwalam".

Gdy tylko zauważył narodziny jakiejś budowli mieszkalnej lub użytkowej, o ile ona nie harmonizowała ze stylem Kazimierza i kłóciła się swym wyglądem z otoczeniem — wkraczał na plac konserwator i stanowczym „nie pozwalam", kładł kres budowie. Nie pomogły żadne perswazje, prośby i odwołania, ze zdaniem Sicińskiego wszyscy się wtedy liczyli. W zasadzie do takich zdarzeń rzadko dochodziło, gdyż konserwator oglądał wszystkie plany, projekty i podania o zezwolenie budowy i tam swoim „veto" już w zarodku uniemożliwiał powstanie szpetnych, lub pretensjonalnych budowli w jego ukochanym Kazimierzu.

Walka ta prowadzona była długo, uparcie i konsekwentnie i nie polegała wyłącznie na negacji. Siciński jest projektantem kilku willi, które się odznaczają wyjątkową urodą. Dwie z nich specjalnie się wyróżniają. Jedna na ulicy Szkolnej, tak zwanych „Dołach", najniżej położonej dzielnicy Kazimierza. Tam u stóp zadrzewionych sklonów góry Trzykrzyskiej, po obu stronach rzeczki „Grodarz" — rozmieściły się liczne domki. Tu właśnie znajduje się dom Berensów, nowy, w odróżnieniu od starego, który nieco dalej służy jeszcze za mieszkanie, a nawet pensjonat. Ten „nowy" jest wyjątkowej urody. Ładnie i celowo pobudowany, prześlicznie umieszczony w otoczeniu róż i kwiatów — zachwyca każdego kto tu zawędruje.

Drugie dzieło Sicińskiego — to znana ogólnie i podziwiana willa Marii Kuncewiczowej, którą można by było bez przesady nazwać cackiem architektonicznym.

To też po wojnie, gdy rodził się projekt wzniesienia w Kazimierzu domu architekta, jemu właśnie powierzono to zadanie. Sprawa była wyjątkowo skomplikowana. Chodziło bowiem o obszerny użytkowy budynek, który zaplanowano w samym sercu Kazimierza — na historycznym Rynku. Dom miał przeznaczenie hotelu, ze wszystkimi nowoczesnymi wygodami, a jednocześnie nie wolno było zaszpecić Rynku. Porównania zaś z Przybyłowskiemi kamienicami żaden chyba dom współczesny nie może wytrzymać.

Te wielkie trudności Siciński szczęśliwie pokonał. Powstał budynek, który swą stroną zewnętrzną, właśnie wychodzącą na rynek, zlewa się z całością, dzięki umiejętnie zaprojektowanej attyce, bardzo skromnej, leciutko stylizowanej pod otoczenie. Wnętrze zaś jest przestronne, wygodne, w miarę archaizowane. Piękne dzieło, które się już stało częścią nieodłączną Kazimierza i jego dumą.

Dom Architekta skojarzył się z Domem Dziennikarza. Przypomniało mi się, jak z Adolfem Rudnickim w czasie długiego spaceru zahaczyliśmy o wąwóz Małachowskiego i tam zaskoczeni widokiem wznoszonej nowoczesnej budowli w najpiękniejszym zakątku Kazimierza — orzekliśmy jednogłośnie: Siciński by na to nie pozwolił.

Bowiem Siciński już od pewnego czasu nie pełni funkcji konserwatora, jest pozbawiony tej czarodziejskiej władzy kształtowania piękna swego ukochanego Kazimierza. Jako zasłużony emeryt dożywa swych ostatnich lat. Po ciężkiej operacji oczu ma wzrok bardzo zmęczony. Może i lepiej, że nie widzi wielu rzeczy, szpetnych dla jego oka, a niemożliwych już do usunięcia.

W tym małym skromnym domku spędza codzienne dni i maluje. Czynna zawsze natura nie może korzystać nigdy z trwałego spoczynku. Wprawdzie w stylowym gabinecie znajdują się narzędzia pracy architekta, ale stanowią chyba już tylko dekorację. Na honorowym, eksponowanym miejscu, stoją sztalugi. Na nich wielkie płótno: król Kazimierz w otoczeniu poddanych, obraz o treści historycznej. Jeszcze nie wykończony, malowany w konwencji zeszłowiecznej techniką passeistyczną.

Nie ulega wątpliwości, że pan Karol Siciński uważa dziś malarstwo nie tylko za swe podstawowe zajęcie, lecz nawet za istotne powołanie. Nie na darmo tyle lat spędził w Kazimierzu, który to pobyt w opinii niektórych entuzjastów sam przez się już stanowi równowartość studiów w Akademii Malarskiej.

Siciński zamierzył długi cykl obrazów o treści alegorycznej. Niektóre z nich mi pokazuje. Tytuły: mądrość, cnota, męstwo itp. Skoro dokona tego dzieła i zrealizuje odpowiednią ilość obrazów powstanie z tego cała sala muzealna, którą ofiaruje Kazimierzowi.

— Tylko, że już trudno tak jak dawniej pracować — skarży się.

— Nawet tu w Kazimierzu światło bywa niedobre, szczególnie w miesiącach zimowych. No i ten wzrok coraz słabszy i nieobejmujący już całości.

— Ale chyba ostatecznie podołam.

I ja tak myślę, wychodząc z domu odprowadzany przez gospodarza. Na pewno da radę i zdąży dokonać swej pracy.

Ale poświęciłbym te wszystkie obrazy w zamian za to by ocknął się dawny Siciński i wyposażony w dawną władzę oczyścił wąwóz Małachowskiego i wszystkie miejsca w Kazimierzu ze śmiecia, które tam urosło, rozpleniło się i zdążyło nawet utrwalić.

*) Karol Siciński zmarł w sierpniu br.

Fragment książki „Spotkania z Kazimierzem", która ukaże się nakładem Wydawnictwa Lubelskiego.

MIROSŁAW DERECKI

# Notatki z Opoczna

## (Dni Folkloru Opoczyńskiego 5-12.IX)

TADEUSZ Kościuszko i święta Cecylia czuwają nad miastem Opocznem. Święta, z wysokości swojej murowanej kapliczki daje baczenie na ruch pojazdów mknących tuż u jej stóp w kierunku Piotrkowa Trybunalskiego, Radomia lub Warszawy. Naczelnik usytuował się w znacznie spokojniejszym miejscu, na kamiennym cokole wśród kwiatów i krzewów, pośrodku reprezentacyjnego placu miasta. Zaraz w sąsiedztwie — komplet miejscowych zabytków: zamek Kazimierza Wielkiego i... Dom Esterki. A więc podanie o romansie króla polskiego i pięknej Żydówki w „nadwiślańskim miasteczku, jest zwykłą bajką? W każdym razie faktem jest, iż król Kazimierz, który bardzo lubił polowania, szczególnie upodobał sobie jako tereny łowieckie okolice Opoczna i w jego pobliżu wybudował zameczek myśliwski. W efekcie przy obecnym Placu Kościuszki stanęła wkrótce murowana budowla, którą mieszkańcy Opoczna zwą Domem — a co gorliwsi patrioci lokalni — Pałacykiem Esterki. Że dom został wzniesiony dopiero w XVI wieku, to inna sprawa...

Tak czy inaczej, prawda czy legenda, historia *musi* działać na korzyść Opoczna, szczególnie teraz, kiedy miasto dostrzegło dużą szansę w rozwoju, w Opoczyńskiem, turystyki.

•

Koło Tadeusza i Cecylii, Esterki i Kazimierza Wielkiego łopocą na wietrze biało-czerwone flagi, wystawy sklepów przybrano opoczyńskimi wycinankami i barwnymi, ludowymi tkaninami, na placu i skwerach wdzięczą się plansze z kolorowymi kogutkami i napisami „Dni Folkloru Opoczyńskiego", transparenty o podobnej treści zwisają wysoko w poprzek ulic. Gwar i ruch wielki panuje w położonym kilometr od miasta parku „Starostwo". Tutaj odbywa się ostatnia faza trwającej od tygodnia imprezy — Dni Folkloru Opoczyńskiego. Na estradzie występują zespoły ludowe z okolicznych wsi, tuż obok zlokalizowano wystawę rolniczą i pokaz bydła rasowego, pomiędzy drzewami stanął wielki samochód radiofonizacyjny, z głośników — w przerwach między występami zespołów — dobywają się dźwięki najnowszych polskich i zagranicznych szlagierów. Ludzi zjechało się i zeszło moc z okolicy. Cisną się wokół estrady, krążą po wystawie rolniczej. W programie przewidziana jest w godzinach wieczornych ogólna zabawa...

•

W ramach ogólnokrajowych Dni Folkloru Polskiego odbywały się także Dni Folkloru Opoczyńskiego. Walory folklorystyczne Ziemi Opoczyńskiej są ogólnie znane. Region posiada bogate tradycje ludowe. Szereg ludowych zwyczajów i obrzędów zachowało się do dzisiaj. Znane są opoczyńskie wycinanki i pisanki, a przede wszystkim pieśni, tańce i stroje ludowe.

Miasto chwyciło się swojej „turystycznej szansy" mocno. Jeszcze przed rozpoczęciem „Dni", Wydział Oświaty i Kultury Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Opocznie oraz Spółdzielnia Przemysłu Ludowego i Artystycznego „Opocznianka", przy poparciu Ministerstwa Kultury i Sztuki wraz z Wydz. Kultury WRN w Kielcach, ogłosiły „Konkurs zdobnictwa ludowego regionu opoczyńskiego". Prace nadesłane na konkurs wzięły później udział w b. ciekawej wystawie sztuki ludowej zorganizowanej w pomieszczeniach miejscowego liceum, w programie „Dni" znalazły się takie imprezy, jak koncert okolicznych kapel ludowych, „Wesele opoczyńskie", wystawione przez jeden z zespołów amatorskich; przypadający na okres „Dni" dzień targowy wykorzystano jako okazję do pokazania turystom typowo wiejskiego jarmarku opoczyńskiego. Zapewniono imprezie dobrą reklamę w prasie, nawiązano łączność z „Orbisem" (cudzoziemcy!), w kioskach można było dostać pocztówki z wzorami opoczyńskich wycinanek, wydano estetyczny informator zawierający wiadomości dotyczące Opoczna i jego okolic. Na ulicach miasta ustawiono tablice informujące o obiektach zabytkowych, gmachach użyteczności publicznej itp. Na przyjezdnych czeka hotelik turystyczny PTTK z 60 miejscami.

•

Od wielu lat badaniem i propagowaniem folkloru opoczyńskiego zajmuje się obecny kierownik Wydziału Kultury Prez. PRN w Opocznie, Bolesław Wojewódzki. Poeta, plastyk, działacz społeczny. Swoje utwory (pisane także gwarą opoczyńską) drukował niejednokrotnie w prasie kieleckiej i lubelskiej, także w „Kamenie". Na wydawcę

(Dokończenie na str. 7)

**M. JÓZEF MICHAŁOWSKI**

# Muzyka w Kielcach

**Kielce nie mają jeszcze filharmonii, są dopiero na drodze do jej zdobycia w niedalekiej przyszłości. Dorobek XX-lecia, to Państwowa Orkiestra Symfoniczna, posiadająca własną, położoną w centralnym punkcie miasta, dobrą akustycznie, salę koncertową oraz, na razie amatorski, ale również z perspektywą przejścia bodaj na półzawodowstwo, chór mieszany.**

W porównaniu z tym, co stolica województwa miała w okresie międzywojennym, jest to wielkie osiągnięcie. Muzykę w mieście reprezentowała wtedy dęta orkiestra 4 pp Leg., a niekiedy tylko, i to jedynie w skromnym repertuarze utworów popularnych, wyłaniana spośród muzyków wojskowych, quasi symfoniczna orkiestra w niewielkim składzie. Czasami zawitał do Kielc jakiś solista, skrzypek lub pianista z recitalem, czasem śpiewak. Przyjazd włościańskiej orkiestry Karola Namysłowskiego był już dla miasta wydarzeniem największego formatu.

Dziś, w dniach XX-lecia istnienia, Państwowa Orkiestra Symfoniczna w Kielcach ma w dorobku 2174 koncerty i występy dla 912 473 słuchaczy (liczby na jubileusz XX-lecia w dniu 14 lutego br.). Coroczna jej działalność obejmuje, obok dwóch piątkowych koncertów symfonicznych w mieście, także takie formy pracy, jak koncerty symfoniczne dla młodzieży szkół kieleckich, na których wykonawcami są również wybitni soliści i dyrygenci przyjeżdżający na koncerty do Kielc, audycje umuzykalniające o specjalnych programach dla szkół w Kielcach i w kilku sąsiednich miastach, koncerty wyjazdowe dla świata pracy, udział w uroczystościach państwowych i społecznych, współpraca z ruchem amatorskim.

Właśnie XX-lecie kieleckiej POS i jej ostatnia wizyta w sąsiedzkiej wymianie międzywojewódzkiej z koncertem w Lublinie, są okazją do skrótowego bodaj przedstawienia drogi rozwojowej i osiągnięć tej placówki.

Powstała, jak wszystkie instytucje w owych dniach, z inicjatywy, zapału i poświęcenia niewielkiej grupy ludzi, pracowników fizycznych kieleckiego Oddziału Związku Spółdzielni Spożywców „Społem", którzy wchodzili w skład zakładowej orkiestry dętej. Inicjatorem był absolwent Konserwatorium Warszawskiego, Marian Stroiński, zatrudniony również jako pracownik fizyczny w warsztatach stolarskich. Trzon członków-założycieli składał się z 19 muzyków.

Marian Stroiński, dyplomowany muzyk-teoretyk, łączył w swojej osobie zalety organizatora, pedagoga i popularyzatora muzyki. Wcześnie też wszczął starania o pozyskanie mecenatu i poparcia instancji wyższych — województwa, Ministerstwa Kultury i Sztuki. Jakoż jego przewidywania sprawdziły się niedługo. Zarząd „Społem", o ile był za posiadaniem własnej orkiestry dętej, to na wyłaniający się nowy zespół świetlicowy patrzył raczej niechętnie. Dlatego też, zaledwie w 3 miesiące po objęciu orkiestry swoim patronatem, cofnął poparcie. A poparcie to, w owych pierwszych miesiącach wolności, było bardzo cenione przez muzyków. Pobory wypłacano im bowiem nie w gotówce, lecz w przydziałach żywności. Ryż, mąka, cukier, mydło były najbardziej poszukiwaną zapłatą.

Starania dyr. M. Stroińskiego poparło województwo, przychylnie przyjęło Ministerstwo Kultury i Sztuki. Od 1 lipca 1945 r. Wojewódzka Orkiestra Symfoniczna przy Związku Zawodowym Muzyków w Kielcach objęta została subwencjami ministerialnymi na równi z filharmoniami i innymi orkiestrami symfonicznymi w Polsce. Subwencje państwowe to jednak tylko forma pomocy dla powiększającej się stale orkiestry, to jeszcze nie upaństwowienie, nie etaty. Muzykom z subwencji przypadają mizerne kwoty, jako ekwiwalent za czas prób. Podstawą ich egzystencji jest nadal praca zarobkowa w różnych dziedzinach gospodarki i administracji.

W tych warunkach, powiększona już do liczby 29 muzyków, daje WOS w dniu 28 lipca 1945 roku swój pierwszy publiczny koncert z popularnymi utworami kompozytorów radzieckich i polskich. Zapotrzebowanie na występy orkiestry było wcale niemałe, jeśli zważymy, że do końca roku WOS koncertowała 33 razy, to jest średnio 6 razy w miesiącu.

Rok 1946 rozpoczyna WOS w dniu 1 stycznia udziałem w części artystycznej akademii dla uczczenia drugiej rocznicy powołania do życia Krajowej Rady Narodowej. Tę funkcję społeczną — uświetnianie okolicznościowych akademii — kielecka WOS przyjęła, jak widać, wcześnie i utrzymała do dnia dzisiejszego. W ciągu 1946 roku było takich występów 20.

W styczniu 1946 r. zapoczątkowała WOS drugi nurt swojej działalności: specjalne koncerty umuzykalniające dla młodzieży szkół ogólnokształcących i zawodowych. Ta ważna funkcja społeczna i artystyczna kontynuowana była przez całe 20-lecie, a o jej skutkach mogłoby zapewne powiedzieć wielu spośród stałych dzisiejszych bywalców koncertów symfonicznych.

Pierwszą i najważniejszą formą działalności Wojewódzkiej Orkiestry Symfonicznej od jej zarania były koncerty symfoniczne popularyzujące twórczość muzyczną, krzewiące i pielęgnujące zamiłowanie do muzyki symfonicznej w najszerszym zasięgu. W roku 1946 odbyło się ich 19, z tego 8 na wyjazdach do Radomia, Pionek, Pińczowa, Pabsztyna, Olkusza i Działoszyc. Była więc od razu WOS orkiestrą objazdową, mającą ambicje obsługiwania kulturalnego nie tylko Kielc, ale i innych miast, osiedli i wsi województwa.

Takie były początki. Takie kierunki działalności. Nie była ona łatwa. Brak własnej siedziby, niedostateczne aż do momentu upaństwowienia uposażenia, stwarzały wiele momentów grożących rozwiązaniem zespołu. Zawsze jednak zwyciężało poczucie społecznej przydatności pracy, jej umiłowanie, dojrzałość obywatelska członków orkiestry, którzy rozumieli, że w hierarchii potrzeb młodego państwa były pilniejsze.

Nadszedł wreszcie oczekiwany dzień upaństwowienia — 1 marca 1950 roku. Nareszcie muzycy mogli złożyć wymówienia w swoich zakładach pracy i przejść na etaty WOS, pracując odtąd w ciągu dnia, a nie po całodziennej pracy gdzie indziej. Wzrasta liczebność zespołu, rośnie repertuar, a wraz z nim i poziom wykonawstwa.

Potem — 30 grudnia 1952 roku — WOS objęła w posiadanie własną siedzibę. Dalszy etap stabilizacji to data 31 grudnia 1958 roku. Uchwałą Prezydium WRN utworzone zostało przedsiębiorstwo państwowe i orkiestra powiększona już do liczby 63 muzyków otrzymuje tytuł — Państwowa Orkiestra Symfoniczna.

Marian Stroiński, Danuta Kołodziejska-Lasotowa, Feliks Lasota, Karol Anbild i Henryk Gostomski — oto nazwiska dyrygentów i kierowników artystycznych Państwowej Orkiestry Symfonicznej, których pracą i talentami formowało się oblicze artystyczne orkiestry. Wielkie zasługi w pierwszym organizacyjnym okresie położył tu Marian Stroiński (1945—1955), a po nim, od 1957 r. do chwili obecnej, znany również z pracy w Filharmonii Lubelskiej, kierownik artystyczny, dyrygent i dyrektor instytucji, Karol Anbild. Praca organizacyjna tego ostatniego, praca wychowawcza z zespołem, nadany kierunek artystyczny, uczyniły z Państwowej Orkiestry Symfonicznej w Kielcach zespół, który przynosi miastu i województwu chlubę, służąc dobrze sprawie krzewienia kultury muzycznej wśród najszerszych warstw społeczeństwa. Przyznana przez Prezydium WRN w dniach jubileuszu Złota Odznaka „Za zasługi dla Kielecczyzny" jest, obok stałej opieki władz partyjnych i administracyjnych, wyrazem uznania i oceną wielkiej pracy XX-lecia.

**JAN HUSZCZA**

## Nieśmiałość

**Jak łatwo doszukać się zachęty,**
**chcesz to w światełkach oczu,**
**chcesz to w lśnieniu listków**
**topoli**

**W poświstach wilgi,**
**gdy zielono,**
**w gilich latarenkach,**
**gdy biało**

**Gałąź między gałęźmi,**
**głos wśród głosów,**
**czasem jednak łacińska litera w**
**ormiańskim alfabecie**

**Bojąc się,**
**że może stać się oszustem,**
**liczy się z każdym słowem,**
**nikogo nie zachęca gestem,**
**udaje, że nic go nie wabi**

**Pragnie tak wiele,**
**że na nic nie potrafi się**
**zdecydować**

**Dni spalają się jak wilgotne**
**szczapy**

**Wieczorem z marynarki własny**
**zdejmuje włos**

**Ale słyszy tętno wód**
**podskórnych**
**w dalekich borach,**
**ostrzeliwanych przez cywilizację**

**Zapewne poeta,**
**o którym nikt się nie dowie**

**DANUTA KONARZEWSKA**

## Wakacje

**Wysmukłe strzeliste**
**Bałtyku dar sierpniowy**
**jest niby bursztyn.**
**Oczy, morzem połyskliwe**
**są listem**
**pisanym przez młodość,**
**rzuconym w wieczór pusty**
**jak w skrzynkę spalonego domu.**
**Taki list**
**uśmiechem ożywia**
**każde usta.**
**Bursztyn, ciepły jak słońce**
**ujęty w dłonie**
**elektronów przepływem**
**przyciąga.**

Lublin

**JANUSZ KRYSZAK**

## Spacer przez las

iść
to przez las
patrzeć
przez drżenie gałęzi
na drogę przebłyskującą
nie zatrzymywać się
aż przy
powalonym drzewie
i próbować je podnieść

leżeć
to na ścieżce
gdzie nikt nie jedzie
tylko zając stanie
nastraszony
całkiem blisko
i nie ruszać głową
zapomnieć że się patrzy

Bydgoszcz

# Plastycy i ŻUBRY

(Dokończenie ze str. 4)

białowieski rangę ciekawego i ambitnego spotkania plastyków — zdobędzie większą popularność wśród turystów.

Ten pierwszy na Białostocczyźnie zjazd ludzi form i koloru zlokalizowano w ośrodku turystycznym Białowieskiego Parku Narodowego. Wybór miejsca, z wielu względów bardzo korzystny i właściwy, okazał się jednak nie na rękę dyrekcji Parku, która zarzucała plastykom naruszanie ustalonych dla turystów przepisów dotyczących rozkładu dnia w ośrodku. W końcu dyrekcja pogodziła się z obecnością niesfornych gości, oczekując od nich rekompensaty w postaci „artystycznej" dokumentacji puszczy i jej atrakcji. Przynajmniej w przyszłości, o ile plener stanie się stałą doroczną imprezą. Takie właśnie wrażenie wyniosłem z rozmowy z dyrektorem Parku, który, jak mi się wydaje, chętnie by widział plastyków zatrudnionych przy malowaniu (na płótnie) wiekowych dębów i stada żubrów, a może nawet symbolicznych jeleni (zwierzę przecież dewizowe — 1000 dolarów kosztuje cudzoziemca odstrzał dorodnego byka!). Wiadomo: nieporozumienie. Zaniepokojonych podobną interpretacją założeń pleneru, pragnę poinformować, że stanowisko organizatorów, a przede wszystkim plastyków białostockich, jest całkowicie odmienne, mądre i nie ogranicza w najmniejszym stopniu indywidualności twórczej, wypracowanych form i metod obrazowania. Przekonałem się przecież osobiście chodząc po mieszkaniach-pracowniach wynajętych w hotelu PTTK, że powstawało w Białowieży malarstwo odmienne, determinowane odrębnymi koncepcjami, będące kontynuacją dotychczasowej twórczości poszczególnych artystów, wśród których w jednym pokoju spotkałem Rajmunda Ziemskiego i Jacka Sienickiego, a obok, przez ścianę małżeństwo Filipiaków, sąsiadujące z kolei z Mikołajem Kochanowskim. Dla swojej twórczości znalazł także miejsce w pracowni stolarskiej trzeci lublinianin, Krzysztof Kurzątkowski, znaleźli dobre warunki inni plastycy z Wrocławia, Krakowa, Warszawy, Torunia, Opola. Mogą to zawdzięczać m. in. energicznym komisarzom pleneru Mikołajowi Wołkowyckiemu i Teresie Bejnarowicz, którzy pomagali zwalczać każdą niemal trudność.

Dzięki temu mogę powiedzieć, że plener spełnił swoje zadanie artystyczne, że nie okazał się środkiem, lecz celem.

### „Chciałbym tu jeszcze powrócić"

W jakich warunkach pracowali plastycy? Powiedzmy od razu: w skromnych, ale zupełnie wystarczających do wyłącznego zajmowania się twórczością. Pobudzone świeżym powietrzem apetyty były w pełni zaspokajane „adwokacką" dietą, każdy otrzymał kilka zagruntowanych płócien i farby, chętnych dowożono codziennie do puszczy, urządzano ogniska i wycieczki po województwie. Co prawda, pokoje w PTTK, spełniające zarazem rolę pracowni, były nieco za ciemne, ale wszyscy byli zgodni co do tego, że w Białowieży gromadzi się w zasadzie szkice, notatki do późniejszego opracowania we własnej już pracowni. Sytuacja ta polepszy się z chwilą oddania do użytku wznoszonego właśnie hotelu reprezentacyjnego na 135 miejsc, w którym znajdzie się chyba miejsce na dużą i dobrze oświetloną pracownię. Warto też podkreślić życzliwość władz partyjnych i PPRN w Hajnówce w stosunku do pleneru.

Ale to nie wszystkie zalety Białowieży. Pozostaje przecież puszcza, a przede wszystkim rezerwat przyrody nie tknięty od wielu lat ręką ludzką, rządzący się własnymi prawami, wstrząsający dramatyczną rzeźbiarską strukturą drzew — żywych i umarłych. Miejsce unikalne, autentyczne źródło twórczej inspiracji dla wszystkich, dla kolorystów i abstrakcjonistów. Najlepiej jednak zacytować opinie o rezerwacie i plenerze samych uczestników spotkania w Białowieży.

**Rajmund Ziemski:** „Natura w dalszym ciągu może inspirować. Jednego bezpośrednio, drugiemu podsuwa pewne refleksje, których forma materialna różni się zasadniczo od pierwowzoru. Wydaje mi się, że tu w Białowieży zaczęło się coś nowego w mojej twórczości, dokładnie nie mogę tego jeszcze określić, ale ma to chyba związek z tym, co widziałem tutaj".

**Władysław Filipiak:** „Po raz nie wiadomo który, ale nigdy w tak przekonywający sposób, odkrywam w naturze zupełnie nowe wartości plastyczne i emocjonalne... Natura jest niezmiernie bogata, to tylko ludzie ją zbanalizowali zwracając uwagę na formę zewnętrzną. Chciałbym tu jeszcze powrócić".

**Władysław Tumkiewicz — rzeźbiarz:** „Plener przeszedł moje oczekiwania. Warto, aby w przyszłym roku przyjechało więcej rzeźbiarzy, tyle tu wspaniałego materiału — w puszczy i w tartaku w Hajnówce, gdzie przy okazji można dostać drewno egzotyczne: machorę, mahoń, afromozję. Drwale, z którymi o 4 rano spotykam się w puszczy, pomagają mi w poszukiwaniu materiału, interesują się tym, co robię..."

Te opinie o warunkach pleneru nie należą do wyjątkowych, przeciwnie — są powszechne. Więc po cóż zastrzeżenia wymienione na początku artykułu? Po to, aby organizatorzy przyszłorocznego spotkania mając na uwadze sam plener (urządzony w odpowiednim terminie), nie zapomnieli o jego popularyzacji i o połączeniu pleneru z sympozjum krytyków, co w końcu na jedno wychodzi. Przeanalizujmy dobrze doświadczenia elbląskiego „Biennale Form Przestrzennych" pod kątem nawiązywania kontaktu twórca — społeczeństwo, a wnioski przyczynią się na pewno do zorganizowania imprezy będącej tematem rozmów Białostoczczan i sprawą ich lokalnej, dobrej ambicji. Oprócz malarstwa widzę w Białowieży przede wszystkim rzeźbiarzy, ponieważ tartak w pobliskiej Hajnówce chętnie użyczy surowca, a tacy ludzie, jak inżynierowie Michał Tokarzewicz i Mikołaj Dacewicz — wszelkiej niezbędnej pomocy. Zakład w Hajnówce może stać się drugim po Elblągu sprawdzianem form i metod porozumienia się współczesnego twórcy z robotnikiem.

* * *

W sobotę 26 września odbyło się uroczyste zakończenie I Ogólnopolskiego Pleneru Białowieskiego finansowanego przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, Wydział Kultury PWRN w Białymstoku, CRZZ i WKZZ, ZG ZPAP. Każdy z uczestników pozostawił jedną pracę, która wejdzie w skład planowanej galerii sztuki współczesnej w Białymstoku. Zrobiono też mnóstwo fotografii, nakręcono film o plenerze. Można przypuszczać, że te dwa fakty oraz osobiste opinie plastyków odpowiednio zapropagują następny, przyszłoroczny i II Ogólnopolski Plener Białowieski.

**Ireneusz J. Kamiński**

# JAKIE SĄ POLKI?

(Dokończenie ze str. 1)

dużą skalę Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego.

— Chcesz wiedzieć, jaka była moja droga do Gałczyńskiego?

Sarajlić jest bardzo bezpośredni i już po paru minutach rozmowy przechodzi na „ty".

— Myślę, że wszystkiemu „winne" różnice naszych charakterów narodowych. Wy na każdym kroku mówicie tylko o problemach największych: świat, pokój, ludzkość. My jesteśmy, żeby to tak określić, bardziej codzienni. Może dlatego więcej widać u nas radości życia, miłości i uczucia we wzajemnych stosunkach. Toteż, prawdę mówiąc, kiedy byłem przed paru laty w Polsce — to pomimo całej gościnności, z jaką przyjmowali mnie i Morcinek, i Piętak, i Różewicz, i Lec, i Rymkiewicz, i tylu innych — nie czułem się dobrze. Strasznie tęskniłem za żoną, za Sarajewem, za krajem. I wtedy raz, w mroźną i śnieżną warszawską noc, trafiliśmy z Tadeuszem Kubiakiem na ulicę Gałczyńskiego. Byłem zaskoczony — u nas dla współczesnych poetów są nagrody i wyróżnienia, ale kiedy umrą nie nazywa się ich imionami ulic. Potem w domu u Kubiaka sięgnąłem do wierszy. I wzięło mnie. Tak dokumentnie, że przyjaciele zaczęli do mnie mówić: „Ty, jugosłowiański Gałczyński".

Izet Sarajlić jest wybitnym współczesnym poetą jugosłowiańskim. Ma 34 lata. Pochodzi z Hercegowiny. Obecnie pracuje jako redaktor działu literatury jugosłowiańskiej i zagranicznej w sarajewskim Wydawnictwie im. Veselin Maslesa. Jest także członkiem kolegium belgradzkiej „Literaturnej Gaziety". Wydał tomiki poezji: „Spotkania", „Czarodziejski Weekend", „Minuta milczenia", „Tranzyt". Ponadto ukazał się jego tom esejów pt. „Liryczne dysertacje". W niedługim czasie wyjdą w Belgradzie: zbiór jego wierszy oraz tom prozy pt. „Portrety przyjaciół", wśród których znajduje się i T. Kubiak. Za swoją twórczość otrzymał (pierwszy poeta jugosłowiański!) Nagrodę Państwową im. 27 Lipca. Tłumaczono go w ZSRR, Polsce, Węgrzech, Bułgarii, Anglii, Francji. Jego „miłością" obok Gałczyńskiego jest Majakowski.

— Po powrocie do Sarajewa postanowiłem zapoznać naszych czytelników z Gałczyńskim. Zasugerowałem jego poezje różnym tłumaczom. W „Zizni" wydrukowaliśmy potem sporo wierszy tego poety. Wiele z nich złożyło się właśnie na „Zaczarowaną dorożkę" niedawno wydaną przez belgradzki „Kosmos". No, cóż, ja odegrałem tylko rolę inspiratora. Przyswajanie Gałczyńskiego jugosłowiańskiemu czytelnikowi — to już dzieło innych. Przede wszystkim Petera Vujicia z Belgradu i Lojze Krakara z Lubljany...

Tego, co mówi Izet Sarajlić, nie sposób nie uzupełnić jeszcze innymi informacjami o popularności Gałczyńskiego w Jugosławii. I to nie tylko w środowiskach inteligenckich, ale i robotniczych. Kiedy np. ukazała się „Zaczarowana dorożka", do Instytutu Siwistycznego — tak nazywa się placówka, która z ramienia naszej ambasady prowadzi popularyzację polskiej kultury — kilka klubów fabrycznych z Belgradu zwróciło się z prośbą o zorganizowanie wieczorów poświęconych Gałczyńskiemu. Cieszyły się one ponoć zaskakującym powodzeniem.

I wreszcie trzeba podkreślić, że to, co mówi Izet Sarajlić o swojej roli w popularyzacji Gałczyńskiego, jest przejawem jego osobistej skromności, tak nieczęsto spotykanej w środowiskach twórczych. Fakt, że Mistrz Ildefons jest niewątpliwie najpopularniejszym dziś poetą polskim w Jugosławii — sprawił konsekwentny upór, z jakim zabiegał wokół tego Izet Sarajlić.

**Jan Babiński**

# TEATR
## na szklanym ekranie

# Na rozstaju trzech dróg

REALIZACJI *„Matki Joanny od Aniołów" przez Teatr TV oczekiwało się w nastroju przedświątecznym. Niejednego telewidza nurtowała zarazem troska, jak też to wypadnie wobec wielkiej głębi filozoficznej opowiadania Iwaszkiewicza. Sprzeczność między panoszeniem się zła a wszechmocą dobrego Boga, problem, z którym ludzkość od wieków nie mogła się uporać, który tak dobitne sformułowanie intelektualne znalazł w latach 1878—80 (nie znam ściślejszej daty), kiedy Dostojewski oświadczył ustami Iwana Karamazowa, że nie akceptuje świata z przyrzekaną przyszłą harmonią opartą na niepomszczonych łzach choćby jedynego dzieciątka, — ten problem w czasie okupacji hitlerowskiej i po niej narzucał się ze wzmożoną siłą umysłowi Polaka. Jarosław Iwaszkiewicz oblekł ową tragiczną antynomię w szatę literacką utkaną z sensacyjnych, rzec można, wydarzeń w pewnym klasztorze francuskim, przeobrażając kronikarską relację w pulsującą życiem opowieść o cierpieniach dusz ludzkich gdzieś w leśnej głuszy Smoleńszczyzny.*

*Wiek XVII. W takim Ludyniu oficjalne panowanie zabobonu trwa. Zabobon jest kamieniem węgielnym despotyzmu, regułą postępowania władz decydujących tutaj o losach ludzkich. Ksiądz Suryn, „wydelegowany", jak by się dziś powiedziało, do klasztoru panien urszulanek, przybywa wkrótce po spaleniu młodego proboszcza Garnca na mocy wyroku sądu biskupiego. Nie pomogło stracenie „czarodzieja", diabeł nadal miota siostrami, siostry „skaczą i tańczą po całym kościele". Najbardziej matka przełożona, matka Joanna od Aniołów. Dusza jej stała się siedliskiem siedmiu demonów... Splata się w tym swojskim a egzotycznym bytowaniu egzaltacja religijna z pobudliwością erotyczną, sadyzmem, masochizmem, niemocą i dociekliwością refleksyjną, wreszcie z pychą (pragnienie jeśli już nie ekskluzywnej świętości, to nadnaturalnego grzechu). Istotnie można powiedzieć używając modnego dziś określenia, że rzecz jest „gęsta" od problemów moralnych, psychologicznych i filozoficznych.*

*Moralność, psychologia są, wiadomo, czynnikami dynamicznymi w strukturze dramatu. Ale filozofia, refleksje o tym, jaki sens może mieć zezwolenie Boże na triumf zła: „Może tak można robić świętych? Dopuścić diabła, wezwać go, oddać mu ciało i duszę, a potem, wygnawszy, podstawić pustkę duchową pod rosę niebieską..." (rozważania wiejskiego proboszcza Bryma) — no, takimi dusznymi refleksjami niełatwo utrzymać uwagę telewidza na dłuższą metę...*

*J. Kawalerowicz kręcąc swój znakomity film „Matka Joanna od Aniołów" czerpał pełnymi garściami skarby opowiadania Iwaszkiewicza. Monumentalna kinematografia rozporządza obfitością środków pomocniczych, którymi uplastycznia myśli zawarte w słowie. Cytowanie obszernych partii dialogu teatralnego in crudo byłoby dla niej zgubne. Tak samo i dla telewizji, z tym że możliwości małego ekranu są niepomiernie skromniejsze.*

*Przynajmniej na razie. Cóż kiedy nie ma dzisiaj dziedziny sztuki, w której uczenie się na błędach stosowano by szerzej niż w teatrze tv. Z okazji miniaturowej ekranizacji Norwidowego „Aktora" granego przez Teatr im. J. Osterwy w Lublinie wypowiadałam się już pokrótce (w poprzednim numerze „Kameny") przeciwko fotograficznym przeniesieniom na ekranik uproszczonych przedstawień teatralnych (przypominającym tzw. spektakle objazdowe). Realizacja „Matki Joanny od Aniołów" na szczęście nie jest obarczona tym błędem, pokazano bowiem utwór w specjalnej adaptacji A. Hanuszkiewicza. Został natomiast popełniony inny błąd: wzięto na warsztat teatralny tv przedwcześnie dzieło, które, tak jak komedio-farsa Norwida, wymaga jeszcze wynalezienia jakiegoś specyficznego układu środków wyrazu dla celniejszego podania audiowizualnego głębokich treści intelektualnych. W „Aktorze" ta pochopność doprowadziła do wyjałowienia myśli filozoficznej poety, w wypadku „Matki Joanny od Aniołów" — do nadużycia techniki zbliżeń. Trzeba doprawdy epokowych kreacji aktorskich, by wirtuozeria mimiki wytrzymała napięcie dłuższych rozważań filozoficznych, a nawet długotrwałych stanów emocjonalnych postaci. Toteż finezyjny dyskurs księdza Suryna z cadykiem, początkowo bardzo angażujący uwagę telewidza, niebawem zaczął jej się wymykać, nużąc monotonią właśnie wizualną. A w kolejnych ekspozycjach twarzy matki Joanny i księdza Suryna nastąpiło pewne spłycenie w kierunku taniego „diabolizmu". Tu trzeba było przyjść ze świeższym pomysłem niż zwielokrotnienie zbliżeń.*

*Cóż poza tym mogę powiedzieć w ciasnych ramach felietonu? Jeszcze tylko to, że widzę dalszy postęp teatru tv na drodze wyprowadzającej go zdecydowanie ze sceny pudełkowej tradycyjnego czystego teatru — w stronę filmu. Nie poprzez obfitość zbliżeń (z których film korzysta raczej umiarkowanie), lecz przy pomocy częstszego posługiwania się plenerami, w ogóle wymowniejszą scenerią, i oczywiście środkami wybitnie telewizyjnymi, jak symbolika zestawu rekwizytów. Właściwie to już się niekiedy robi, odnotujmy z uznaniem w repertuarze „teatralnym" chociażby takie realizacje, jak „Sen wujaszka" Dostojewskiego w interpretacji Lidii Zamkow albo adaptację „Żołnierza tulacza". Wydaje się, iż tego rodzaju widowiska zakreśliły już w znacznym stopniu specyfikę teatralno-filmową telewizji. Oby tylko było ich jak najwięcej. Nauka na błędach trwa już za długo.*

**M. Bechczyc-Rudnicka**

# Plamy czarne i białe

*(Dokończenie ze str. 2)*

dał, mimo że biblioteka jest tu placówką jak się to mówi „wiodącą", pomimo że uzyskano tu znaczną poprawę lokalową tych placówek, liczba książek przypadających na jednego czytelnika i jednego mieszkańca jest niższa niż przeciętna wojewódzka.

Sygnalizowano w referacie sekretarza Ryby inny jeszcze interesujący temat. Chodzi o głośną w województwie uchwałę Wojewódzkiej Rady Narodowej w Rzeszowie z maja 1960 roku. Uchwałę, która została podjęta na sesji poświęconej problemowi rozwoju kultury na wsi i w małych miasteczkach. Jest to dokument w praktyce rad narodowych województwa rzeszowskiego właściwie bez precedensu.

Pięcioletnia realizacja uchwały przyniosła wiele pozytywnych, wielokrotnie podkreślanych osiągnięć. Ale jest to tylko jedna strona zagadnienia. Interesujące byłoby dowiedzieć się, dlaczego szereg punktów uchwały nie jest realizowanych, mimo że nikt ich słuszności i celowości nie kwestionuje. Na plenum również i w tej sprawie nie padły żadne konkretne wypowiedzi. A szkoda...

Skąd się biorą na przykład, przechodzące już w tradycję zwyczaje, że jedne powiaty od szeregu lat świadczą poważne kwoty na zakup książek, gdy inne przyznają na ten cel sumy wręcz kompromitujące? Albo jak wytłumaczyć fakt przyznania przez rady narodowe powiatu przemyskiego tylko 60 000 złotych na ten cel, podczas gdy placówek bibliotecznych jest w tym powiecie ponad 40?

Mówi się, że przyznanie tak niskich kwot w budżetach niczego jeszcze nie tłumaczy, że biblioteki otrzymują na ten cel środki z nadwyżek budżetowych.

Tłumaczenie dość problematyczne, bo nadwyżka jest, lub jej nie ma... Przyznawanie kredytów dodatkowych, najczęściej zresztą w ostatnim kwartale zupełnie sprawy nie załatwia. Szereg cennych pozycji książkowych wydanych w drugim lub trzecim kwartale w ogóle do bibliotek nie trafia.

Niestety, i na ten kłopotliwy temat dyskutanci również nie zabierali głosu, pomimo bardzo oczywistej do tego „prowokacji"...

Padały natomiast w czasie dyskusji stwierdzenia, z którymi nikt nie polemizował pomimo ich bezspornej dyskusyjności.

Zaliczyłbym do nich wystąpienie dyrektora rzeszowskiego „Ruchu", Romana Kolasińskiego.

Nie po raz pierwszy polemizuję z dyrektorem Kolasińskim. Trudno mi się i tym razem zgodzić z dokonaną przez niego oceną działalności klubów „Ruchu" w województwie rzeszowskim.

Chyba u progu sezonu kulturalno-oświatowego 1965/66 nie trzeba, jak odczytałem intencje dyskutanta, podkreślać przodującej roli tych placówek w przekształceniu życia kulturalnego rzeszowskiej wsi.

Nie trzeba tego robić, gdyż placówki te wchodzą w kolejny wcale niełatwy etap pracy kulturalnej, gdzie będą musiały szukać partnerów do współdziałania, a takie postawienie problemu szansę tę sprowadza właściwie do minimum.

Przed powstaniem klubów działały już w województwie rzeszowskim placówki kultury, o których było, i, powiedzmy sobie szczerze, jest głośno w skali krajowej. Placówki te odgrywały wówczas i odgrywają nadal poważną rolę w życiu kulturalnym naszego województwa i nie ma najmniejszych powodów, by przeciwstawiać je nowemu, dynamicznie wchodzącemu w to życie partnerowi, jakim są kluby „Ruchu", czy geesowskie „Kluby Rolnika".

Kto jest lepszy i kto w przekształcaniu wsi odegra bardziej pozytywną rolę — pozostawmy to czasowi, a zresztą czy rzeczywiście jest to problem, o który warto kruszyć kopie?

*

Poruszono na plenum w sposób kontrowersyjny problem opieki kulturalnej ze strony zakładów pracy nad dojeżdżającymi ze wsi robotnikami. Myślę, że dobrze się stało, iż zetknęły się tu dwa przeciwstawne poglądy, dwa różne stanowiska — przedstawicieli związków zawodowych i przedstawiciela młodzieżowej organizacji działającej na wsi. Był to jeden z żywszych momentów obrad, który w sposób interesujący dotknął wielkiego, czekającego na swe rozwiązanie problemu „chłopo-robotniczej" kultury.

W dyskusji zabrała również głos Krystyna Gromkowa, zastępca dyrektora Departamentu Pracy Kulturalno-Oświatowej i Bibliotek Ministerstwa Kultury i Sztuki, wysoko oceniając osiągnięcia kulturalne woj. rzeszowskiego.

Przemawiając na zakończenie obrad I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego partii w Rzeszowie, Władysław Kruczek, w „nietypowy" sposób podsumował kilkugodzinną dyskusję na tematy związane z współczesnością i przyszłością kultury rzeszowskiej wsi.

Może dobrze się stało, że w wystąpieniu tym nie padły liczby, procenty, wskaźniki, jakimi ilustrowano w czasie dyskusji niejeden przykład, niejedną tezę, że poświęcono je c z ł o w i e k o w i, który o nich w rezultacie decyduje.

Władysław Kruczek zakończył swoje wystąpienie serdecznym podziękowaniem złożonym działaczom kultury, nauczycielom i bibliotekarzom, którzy bez wielkich słów, bez deklaracji i często bez zapłaty dokonują rzeczy, których wartości nie da się po prostu wymierzyć.

Są w tej grupie, na najtrudniejszym odcinku pracy społeczni działacze kulturalni wsi, którym tak wiele ona zawdzięcza.

Jedną z tych milszych stron zawodu dziennikarza jest fakt, że może on pośredniczyć w przekazywaniu tego rodzaju słów. I dołączyć do nich i swoje serdeczne uznanie.

**Adolf Jakubowicz**

# Notatki z Opoczna

*(Dokończenie ze str. 5)*

czekają jego „Pisanecki" (wiersze) i „Opowiadania" — pisane gwarą opoczyńską. Warto, żeby zainteresowało się nimi Wydawnictwo Lubelskie. To właśnie Bolesław Wojewódzki jest jednym z głównych propagatorów idei założenia w Opocznie muzeum regionalnego. Zresztą w niedługim czasie idea doczeka się realizacji: przystąpiono już do opracowania dokumentacji adaptowania na potrzeby przyszłego muzeum pomieszczeń w dawnym zamku Kazimierza Wielkiego, zajmowanych dotychczas przez miejscowy szpital. Muzeum regionalne ma stanowić jedną z głównych atrakcji turystycznych Opoczna. Nic dziwnego, że władze miejscowe są szczególnie zainteresowane w jak najszybszym jego otwarciu i na potrzeby remontu przewidziano już odpowiednie fundusze w budżecie miasta.

*

Opoczno posiada wielowiekowe tradycje, a jednocześnie staje się miastem zupełnie nowym. Jego jedenaście tysięcy mieszkańców w większości utrzymuje się z pracy w miejscowych fabrykach (Opoczyńskie Zakłady Płytek Ceramicznych, Wapienniki), przedsiębiorstwach budowlanych i różnego rodzaju spółdzielniach, wśród których poczesne miejsce zajmuje Spółdzielnia Przemysłu Ludowego i Artystycznego „Opocznianka" eksportująca swoje kilimy, krajki, swetry także za granicę i zaopatrująca liczne zespoły artystyczne (przede wszystkim „Mazowsze") w autentyczne stroje ludowe.

Dla tej ludności buduje się nowoczesne dzielnice mieszkaniowe, powstaje ogromny (jak na Opoczno), nowoczesny, kilkusetłóżkowy szpital, wzniesiono gmach liceum ogólnokształcącego, coraz to nowe ulice obejmuje sieć wodociągowa, dwa kina dają każdego dnia trzy seanse filmowe.

*

Jest jednak coś, co wprowadza niejaki zgrzyt w sielankowy, jak dotąd, obraz miasteczka dbającego o tradycję i historię, kultywującego regionalną sztukę i zdążającego promienną drogą do zamożności i dobrobytu. Obserwatora zaskakuje mianowicie w Opocznie brak... domu kultury. Nie już, wielkiego i nowoczesnego, ale brak jakiegokolwiek: powiatowego, miejskiego, mieszczącego się w dwóch czy trzech pokoikach, pracującego z trudem, z efektami lub bez. (Dla sprawiedliwości trzeba tutaj zaznaczyć, że istnieje w Opocznie tzw. świetlica miejska, oraz świetliczanka na etacie, ale... świetlica mieszcząca się w budynku remizy strażackiej w zimie zionie mrozem, latem zaś, wiadomo, wakacje).

Osoby kompetentne odpowiadają na zarzuty, że po pierwsze: istnieje szereg bardzo dobrze pracujących świetlic i klubów przyzakładowych (tu wymienia się liczbę i nazwę) posiadających własne zespoły regionalne, (czy regionalizm nie staje się przypadkiem w odniesieniu do działalności kulturalnej — manią Opoczna?), po drugie: są dwa kina, które wyświetlają dobre filmy i cieszą się ogromną frekwencją, po trzecie: najpierw trzeba budować szkoły i szpitale a dopiero p o t e m dom kultury, zresztą wiedy już okazały, reprezentacyjny. W granicach 9—10 milionów złotych. Na razie jednak nie wiadomo, skąd się weźmie te miliony, podobno niektórzy liczą na częściową pomoc Polonii amerykańskiej, z którą Opoczno jest w kontakcie, w każdym razie w najbliższej pięciolatce domu kultury w Opocznie się nie przewiduje.

Nieporozumienie chyba tkwi w tym, że przyzwyczailiśmy się rozpatrywać dom kultury tylko jako świetlicę z dodatkiem sali teatralnej, w której może występować przyjezdny teatr, albo miejscowy zespół amatorski, a nie placówkę zajmującą się d z i a ł a l n o ś c i ą k u l t u r a l n ą w środowisku i na rzecz środowiska. Placówkę kulturalną, posiadającą własny personel, pracującą w powiązaniu i według wskazówek swojej placówki nadrzędnej (w tym wypadku Wojewódzkiego Domu Kultury) i realizującą jakiś wycinek ogólnego, opracowanego na podstawach naukowych planu. Między innymi jest dom kultury chociażby placówką koordynującą działalność świetlic na terenie miasta czy powiatu. Na taką działalność nie może sobie pozwolić — bo nawet mu nie starcza czasu — wydział kultury będący przede wszystkim jednostką administracyjną.

W imprezach odbywających się w ramach „Dni Folkloru Opoczyńskiego" raził m. in. brak koordynacji, i brak odpowiedniej liczby osób zajmujących się i czuwających nad imprezami. Z pewnością nie został do końca i w najdrobniejszych szczegółach opracowany plan imprezy. Dlatego na przykład koncert kapel ludowych nie zgromadził wszystkich przewidywanych zespołów (niektóre z nich miały właśnie w czasie „Dni" własne „dochodowe" występy), radiooperator „puszczał" podczas regionalnej imprezy utwory w wykonaniu „Filipinek", zbyt blisko estrady ustawione żywe eksponaty wystawy rolniczo - hodowlanej zagłuszały chwilami produkujących się amatorów, a kilka tysięcy widzów dość dokładnie zdeptało park.

Warto by się jednak zastanowić nad sprawą utworzenia w Opocznie powiatowego domu kultury. Tym bardziej, że swoje imprezy regionalne chcą opocznianie powtarzać przecież jak najczęściej. W kilkunastu pomieszczeniach zwalnianych przez szpital, znalazłoby się chyba miejsce i dla przyszłego muzeum i dla domu kultury. A teatry mogą grywać, jak dawniej, w sali kina.

**Mirosław Derecki**

# BAEDEKER literacki

**LESŁAW M. BARTELSKI: ŁUNA. OPOWIEŚĆ Z ROKU 1863. KSIĄŻKA I WIEDZA 1965.**

Zdawałoby się, że opowieść o roku 1863 teraz w roku 1965 jest spóźniona, nieaktualna — obchody rocznicowe zakończono przecież już dawno. Można jednak powiedzieć, że Bartelski ogłosił swą książkę właśnie w porę: w stuletnią rocznicę ostatecznego zaprzestania walki. (Ostatniego dowódcę oddziału powstańczego, księdza Brzóskę, o którym zresztą jest w „Łunie" wzmianka, ujęto w kwietniu 1865 r.).

W ostatnich latach ukazało się wiele utworów literackich o tematyce styczniowej (zestawiono je w jednej z rozpraw księgi zbiorowej pt. „Dziedzictwo literackie powstania styczniowego"), były to jednak przeważnie beletryzowane biografie, lub też utwory o mniejszym lub większym piętnie rocznicowego pośpiechu. Do nielicznych wyjątków należał bezkonkurencyjny „Heydenreich" Iwaszkiewicza (omówiony w jednym z poprzednich odcinków Baedekera) łączący z wiernością realiom wysoki poziom środków wyrazu. Opowieść Bartelskiego to bliska krewna „Heydenreicha" a także innej, przed kilku laty wydanej, książki o powstaniu: „Ballady o wzgardliwym wisielcu" Rembeka.

Tematem powieści Bartelskiego jest bitwa pod Węgrowem z 3 lutego 1863 roku.

Akcja „Łuny" trwa tylko trzy dni. Bodajże wszystkie postacie, z wyjątkiem może kilku epizodycznych, są prawdziwe. Zdawałoby się więc, że jest to spóźniony reportaż, opis wypadków i nic więcej. Tu jednak Bartelski pokazał, co można nawet w tak krótkim utworze literackim wydobyć z rzeczywistości historycznej. Bitwa pod Węgrowem jest w „Łunie" zarysowana na dość szerokim, choć szkicowo przedstawionym tle. W zakres tego tła wchodzą wzmianki o przyczynach powstania i o poprzedzających wybuch wypadkach, o aktualnej sytuacji politycznej, społecznej i ekonomicznej.

Oprócz tego w utworze jest tęga dawka rozważań nad celowością powstania, nad pozornym bezsensem porywania się „z motyką na słońce". W pewnym momencie na trzeźwe, niemal „pozytywistyczne" argumenty jednej z postaci autor ustami drugiej odpowiada: „...czasem i szaleństwo ma swój sens".

Bartelski przedstawił powstanie także i od strony walki bratobójczej. Wprowadził oficerów-Polaków w służbie rosyjskiej biorących do niewoli swoich synów. (Dobrze się stało zresztą, że autor nie wprowadził do utworu nieuchronnie melodramatycznej sceny spotkania pułkownika carskiego-ojca z porucznikiem powstańczym — synem, przed czym nie cofnąłby się żaden lubiący łatwe efekty pisarz). Pokazał wielonarodowość carskich oficerów, wśród których są także i Rosjanie spod znaku Kołokoła. „Łuna", to szkic historyczny ciekawy ze względu na ujęcie problematyki, a także i na sposób napisania. Nie ustrzegł się jednakże Bartelski kilku drobnych błędów w realiach, które zresztą dostrzec może tylko pedant. Np. żołnierze rosyjscy w „Łunie" „repetują" karabiny, nb. jednostrzałowe — a w dodatku nabijane przez lufę. Wśród oficerów rosyjskiej kawalerii wprowadza autor majora i kapitana. W armii carskiej stopnia majora w ogóle nie było: odpowiednikiem jego był kapitan. W kawalerii ponadto nie było sztabskapitanów i kapitanów, tylko sztabsrotmistrze i rotmistrze. I jeszcze mała lecz charakterystyczna rzecz: Bartelski niezbyt dokładnie oddaje tytuły: wasze błagorodje, wasze prewoschoditielstwo itp.; każdy z tych tytułów należał był określonym rangom.

**B. K.**


## Kamena

Dwutygodnik społeczno-kulturalny. Redaguje Kolegium: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mikulski, Jerzy Pleśniarowicz, Stefan Wolski. Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich. Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 7. Telefon 2-34-49. Redakcja rękopisów nie odsyła. Warunki prenumeraty: kwart. zł 12, półrocznie zł 24, rocznie zł 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu", zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu". Prenumerata przyjmowana jest od 1 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonywa się przedpłaty. Prenumerata za granicą: kwartalnie zł 16,80; półrocznie zł 38,40; rocznie zł 72,80. Zamówienia i wpłaty przyjmuje PKWZ „Ruch", Warszawa, ul. Wronia 23. Nr konta PKO 1-6-100024 oraz „Ruch" Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN Lublin — Unicka 4.

Zam. 3182 23.IX.65 H-3

## KIELECKIE OSTY i chłosty

### Lustra

Co wejdziesz do nowego lokalu publicznego w Kielcach natychmiast natykasz się na ciągle powtarzany akcent i element dekoracyjny. Jest nim lustro, a raczej częściej — powielony zestaw zwierciadeł, pokrywających ściany halli, foyer'ów, sal głównych itp. Jest tak w lokalach gastronomicznych I kategorii („Centralna", Jodłowa"), w klubach („Dom Technika"), w kinach („Moskwa", „Bajka") i innych, których dla szczupłości tej rubryki nie wymienię. Lustromania jest zjawiskiem, które można zaliczyć do kategorii estetycznych, albo też odsłania jakiś głęboko ukryty kompleks projektantów. Zafascynowani możliwością powielania swej powierzchowności ładują tafle, gdzie się da, a zabawny paradoks sytuacji polega na tym, że tam, gdzie lustro jest naprawdę potrzebne (toaleta, szatnia itp.) nie znajdziesz śladu zwierciadełka. Kiedy się gość zlustruje na sali, wybiega w popłochu do jakiegoś przytulnego kącika, ale tam może się jedynie przejrzeć... w oczach szatniarza czy babki szaletowej. I nie ma człowieka ogarnąć f-lustra-cja!?

### Dla siatkarzy

Odkąd mamy w Kielcach wspaniałą Halę Sportowo-Widowiskową, odwiedzają nas nie tylko co droższe zespoły artystyczne, ale także imprezy sportowe o ponad krajowym znaczeniu. Ostatnio tak zwany „Final B" rozgrywek o „Puchar Świata Narodów" w siatkówce drużyn męskich. Z tej ostatniej okazji Państwowe Przedsiębiorstwo Imprez Sportowych w Warszawie wydało rodzaj informatora-przewodnika na użytek uczestników i kibiców. Znalazłem w tej publikacji rewelacje dotyczące Kielc, a wszystko zajęło tylko niecałą stronę druku, przełożoną niestety obok na języki obce. Poinformowano tam czytelników, iż Kielce to miasto wojewódzkie liczące około 70 tysięcy mieszkańców, choć wiadomo, że dawno miasto uzyskało prawo do zarysu konturowego na mapie, co oznacza, że przeszło poza granicę 100 tysięcy. Podano również wieść, iż w Kielcach urodził się i tworzył wielki pisarz polski Stefan Żeromski (!). Nie wiadomo, skąd autorzy tej kompromitacji czerpali swoją wiedzę, ale prawdopodobnie z wyobraźni. Może zrobiła to reklama wokół osoby autora „Popiołów", który związany jest z Kielcami, ale nie od pieluszek, czego nawet żałujemy, lecz przez szacunek nikt mu dotąd kieleckiego urodzenia nie zarzucał. Jest w tej publikacji także wiadomość o „czterech obozach zagłady dla ludności" — czynnych w czasie okupacji na terenie Kielc (!) — zarówno w stylu, jak i faktach nieprawdziwa. Radość człowieka ogarnia na myśl, czego to jeszcze się dowiemy dzięki broszurom PPIS, które na dobrym papierze w tysięcznych nakładach kolportować będą podobne brednie z racji każdego święta sportowego. Ja bym im tam dawno dał... kosza!

R. Podlewski

W odpowiedzi na list P.P. Hotele „Orbis" — „Bristol" i „Europejski" do „Kameny"

# Ambicja i napoleonki

HISTORIA, która zdarzyła się studentkom UW w kawiarni „Europejskiej" w Warszawie (odmowa obsłużenia przez personel pod hasłem: *takie panie niczego u nas nie dostaną*"), ma już obszerną bibliografię. Pierwszy poinformował o sprawie „Kurier Polski", następnie „Kultura" (nr 35) zamieściła felieton KTT — „Widmo", powracając do tej sprawy w następnych numerach (KTT, Jan Szeląg). Również „Kamena" w połowie września skomentowała fakt w Notach. pod tytułem: „*Naprawdę widmo*".

Że sprawa jest wciąż jeszcze aktualna, dowodem list otrzymany przez naszą redakcję od p. E. Neymurka, radcy prawnego P. P. Hotele „Orbis" — „Bristol" i „Europejski" w Warszawie, do którego dołączono odpis wyjaśnienia wysłanego również do redakcji „Kuriera Polskiego". Wyjaśnienie to zostało opublikowane w „Kurierze Polskim", z następującym komentarzem: „*Do problemu oceny konduity klientek kawiarni i restauracji oraz możliwości bardzo niemiłych nieporozumień, jakie się z tym wiążą — powrócimy osobno*".

Chciałbym jednak zwrócić uwagę na coś innego i na podstawie otrzymanego listu zrelacjonować żądania poszkodowanych studentek oraz zacytować interesujący mnie szczególnie fragment kontrpropozycji P. P. Hotele „Orbis". Poszkodowane żądają od kierowniczki sali publicznych przeprosin, pisemnych przeprosin ze strony dyrekcji, wpłacenia określonej kwoty na rzecz PCK tytułem zadośćuczynienia za krzywdę moralną i wyciągnięcia jak najsurowszych konsekwencji dyscyplinarnych wobec winnych. Przedsiębiorstwo wyjaśnia niemożność spełnienia tych żądań ze względu na przepisy budżetowo-rachunkowe, zasady ustalania przewinień pracowników, itp. itp. W zamian dyrektor Przedsiębiorstwa proponuje: *„...udzielenie najdalej idącej satysfakcji osobistej wymienionym Paniom, pod warunkiem zapewnienia przez adwokata (działającego z ramienia strony poszkodowanej — przyp. mój, MD), iż Panie te są istotnie studentkami Uniwersytetu Warszawskiego (!!!) i nie dały powodów do odmówienia obsługi*". Jako tę satysfakcję, dyrektor P.P. Hotele „Orbis", „Bristol" i „Europejski" przewiduje:

*„...dwukrotne zaproszenie przez Dyrekcję do kawiarni „Europejskiej" na przyjęcie: obu Pań, Matki Pani (...), adwokata (...) w dowolne dni i w dowolnej porze, według życzenia Pań, przy czym na przyjęciu Dyrekcję reprezentowałby nasz Radca Prawny, który po przedstawieniu się obu Paniom, wyraziłby Im nasze pełne ubolewanie z powodu doznania przez Nie przykrości w Lokalu, a następnie, wezwałby jednego dnia jedną, a drugiego dnia drugą kierowniczkę kawiarni i przekazałby im polecenie Dyrekcji stałego, uprzejmego i miłego przyjmowania w kawiarni wszystkich obecnych, z zapewnieniem właściwej obsługi*".

I właśnie ta pełna dobrej woli propozycja jest dla mnie zastanawiająca. Już nie sprawa konduity i żądanie satysfakcji — o tych sprawach już pisano — ale **forma** satysfakcji zaproponowana przez Dyrekcję, forma, mam nadzieję, przemyślana i przedyskutowana jako najbardziej odpowiednia. Chciałbym zwrócić uwagę właśnie na **formę** udzielenia satysfakcji, która stanowi chyba pewne **novum**. Z jednej strony mamy dorosłe, kulturalne osoby, które obrażono, z drugiej, również dorosłe i również kulturalne osoby, które proponują obrażonym dość oryginalną satysfakcję. Bo jakże wyglądałyby te przeprosiny?..

•

Wyobraźmy sobie poszkodowane panie odpowiednio wygalowane i prosto od fryzjera w kawiarni „Europejskiej". Paniom towarzyszy ich adwokat. Towarzystwo wita radca prawny przedsiębiorstwa, który przedstawia się paniom i wyraża im pełne ubolewanie dyrekcji z powodu doznania przez nie przykrości w lokalu. Po przełamaniu pierwszych lodów towarzystwo zasiada przy specjalnie zarezerwowanym stoliku. Pojawiają się „dania przyjęciowe" (torty? kremy?). Rozpoczyna się degustacja.

W oddali ukazuje się kierowniczka sali. Podchodzi ona do stolika, radca prawny przekazuje kierowniczce polecenie Dyrekcji stałego, uprzejmego i miłego przyjmowania w kawiarni wszystkich obecnych, z zapewnieniem właściwej obsługi. Kierowniczka oddala się, a radca prawny zaprasza panie na jutro, na następną satysfakcję, również połączoną z degustacją. I w ten sposób straty moralne zostały nareszcie wyrównane.

Oczywiście wszystkim znany jest stary sposób nieoficjalnego załatwiania drażliwych spraw „przez bufet". Ale w tym wypadku chodzi chyba nie tylko oto. Oficjalne postawienie sprawy na płaszczyźnie konsumpcyjnej" uwłacza zarówno godności osób poszkodowanych jak i instytucji i jest conajmniej dziwne. Obraza nie polegała przecież na odmówieniu szklanki kawy czy ciastka i na powstałym z tego powodu kompleksie, który należałoby taką szklanką kawy i ciastkiem uleczyć. W psychice człowieka leży, niestety, dążność do otrzymania satysfakcji natury moralnej i żadne przyjęcia — wydaje mi się — jej nie zastąpią. W całej tej sprawie odnosi się nieodparte wrażenie, że właśnie takiej satysfakcji, o którą chodziło obrażonym, odmówiono. Co więcej, zagubiła się ona gdzieś po drodze, a całą rzecz usiłowano zbagatelizować i w rezultacie wykręcić się przysłowiowym sianem. W tym świetle osoby poszkodowane nie tylko nie otrzymałyby należnej satysfakcji, ale **ponownie** zostałyby potraktowane w sposób lekceważący. W ogóle wydaje się, iż strony przeciwnej przedsiębiorstwo nie uważało za równorzędnego partnera, przedstawiając jej propozycje nie do przyjęcia.

I oby tylko kiedyś nie potraktowano któregoś z obrażonych dyrektorów P. P. „Orbis", właśnie przeprosinową ucztą!

•

Lepiej nie myśleć, co by było, gdyby taka forma dochodzenia roszczeń natury moralnej upowszechniła się Musiałby powstać nowy lokal ze specjalnością: „Przyjęcia przeprosinowe".

M. D.

P. S. A swoją drogą nasuwa się pytanie: kto płaciłby za owe dwa przyjęcia? Dyrekcja z własnej kieszeni? Mocno w to wątpię...

## Odpowiedzi Redakcji

**Z. K. w Lublinie.** Nie, to nie pomyłka. Autorem wiersza pt. „Wiersz" (w poprzednim n-rze „Kameny") jest rzeczywiście Christo Fotew, poeta mieszkający w Burgasie.

**F. S. w Rzeszowie.** Wierszyk pt. „Bola petentów" kończy Pan apelem: „Wy nasi urzędnicy, bądźcie więc obowiązkowi, załatwiajcie wszystkie sprawy temu biednemu ludkowi". Przyłączamy się do apelu, ale nie zmienia to faktu, że wszystkie Pana utwory, które co kilka dni nadsyła Pan do redakcji, są bardzo słabiutkie.

**J. U. w Lublinie.** Niestety, wiersze nie do druku. Poprzednio odpisywaliśmy Panu drogą pocztową. Dziwimy się, że list nie doszedł.

**T. Z. R. w Świętochłowicach.** A jednak „Mijamy się w tłumie" jest dotąd najlepsze. Nie dostrzegamy, by zrobił Pan jakieś postępy.

**A. C. w Goraju.** Przykro nam, ale jak wyżej...

**R. M. w Lublinie.** Dziękujemy za miłe słowa. Prawdopodobnie fragmenty wydrukujemy, pragniemy jednak najpierw zapoznać kol. W. G. z treścią Pańskiego listu. W każdym bądź razie rozbieżności nie są takie istotne.

### Sprostowania

*Prostujemy, ale wina leży nie tylko po stronie redakcji. Przy okazji apelujemy do autorów o bardzo wyraźne podpisywanie się pod nadsyłanymi utworami!*

*Autorką wiersza pt. „Ty" zamieszczonego w poprzednim numerze „Kameny", jest Alina Onuch, a nie Alina Ozonek. Przepraszamy.*

Następny numer
12 stron
M. in. „Ziemia i pieśń"
„Lublin — miasto wyższych uczelni"

## FRASZKI

### STANISŁAW FORNAL

**DŁOŃ WIODĄCA**

*Bywa, że w teatrze rękę reżysera*
*widuje się wtedy, gdy ten drzwi*
*otwiera...*

Kielce

### JAN RYBCZYŃSKI

**NA RADOMSKICH GARBARZY**

**Takie w naszym mieście typki**
**[poniektóre:**
**Wyprawiają skórki, a dostają...**
**[w skórę.**

Radom

O węgorzach można długo i dużo. Jest to temat pasjonujący zarówno rybołówcę jak i gastronoma. Z panem Józefem R. często o nich mówiliśmy.

Węgorz był na krajowych stołach daniem pospolitym. Można go było kupić w stanie surowym od miejscowych rybaków, można było wypisać i z wybrzeża morskiego w 24 godziny skrzynka z wędzonym świeżutko specjałem zjawiała się u adresata.

Omawiając różne sposoby przyrządzania, zatrzymaliśmy się dłużej nad sposobem polskim. Węgorz w galarecie. Gdy duża miska tego wybornego...

W tym miejscu Józef R. przypomniał sobie zdarzenie kulinarne związane z osobą doktora B. Był on wielkim amatorem węgorzy. Zrobiona została umowa, że gdy dostawcy dostarczą świeży towar, p. Józef będzie dzwonić do doktora, którego w takim razie mógł w domu zatrzymać tylko wyjątkowej wagi wypadek.

Było to około trzydziestego roku w pełni sezonu, gdy otrzymałem kilkanaście nieprzeciętnych sztuk, świeżo złowionych — mówi p. Józef. — Natychmiast zawiadomiłem doktora. Mieszkał niedaleko, toteż wkrótce był już w sklepie. Z zainteresowaniem obejrzał towar i wybrał trzy wielkie okazy, każdy około dwóch kilogramów wagi. A węgorz jest rybą tłustą, delikatną i lekką. Dwukilogramowy okaz wygląda imponująco. Długość takiej sztuki wynosi około półtora metra, a obwodu ma ponad trzydzieści centymetrów. Doktór dłuższą chwilę kontemplował ryby, a potem wydał kilka zaleceń dotyczących przyrządzenia.

Zapłacił z góry i prosił, aby w odpowiednich naczyniach następnego dnia odesłać mu do domu.

Przygotowano więc odpowiedni rosół z jarzyn z dodatkiem ziół korzeni i pewnej ilości grzybków (te ostatnie wszelkim zupom rybnym i galaretom nadają specyficzny ceniony przez znawców smak). Węgorze należycie oczyszczono, posolono, pokrajano na duże dzwonka i w powyższym rosole zagotowano.

Doktór zawsze zastrzegał, że węgorza trzeba gotować dość długo — lepiej go przegotować niż nie dogotować.

Gdy gotowanie skończono, dzwonka wyjęto, galaretę sklarowano i postawiono do wystudzenia.

Teraz ugotowano pół kopy (trzydzieści) raków średniej wielkości, obrano szyjki i nóżki. Gdy galareta zaczęła dobrze już stygnąć, nałożono jej dużą porcję do dużych kamiennych naczyń na dno, ułożono na niej szyjki i nóżki rakowe, przełożono ga[illegible]

Tak efektownie przygotowane węgorze w galarecie, których łączna waga (bez naczyń) wynosiła ponad siedem kilogramów, posłano doktorowi do domu.

Minęło kilka dni, P. Józef, jak każdy dobry fachowiec, lubił poznać opinie o swoim dziele, oczekiwał doktora, który często wpadał do zakładu.

Tym razem go jednak nie było. Ale do sklepu przyszła doktorowa. P. Józef nie omieszkał zapytać, jak smakowały węgorze.

— Niestety — odpowiedziała zagadnięta pani — nie wiem, jak smakowały, gdyż w ciągu jednego dnia doktór sam spałaszował je bez reszty.

W. G.

## od BIEBRZY po BIESZCZADY

### BIAŁYSTOK

◆ W Białostockim Domu Technika odbyło się (20—22 września) pod patronatem PAN polsko-radzieckie sympozjum, poświęcone kontaktom bałtosłowiańskim we wczesnym średniowieczu. Połowę referatów wygłosili uczeni radzieccy. Organizatorem było Białostockie Tow. Naukowe.

◆ Augustów jest chyba pierwszą miejscowością w kraju, w której popularny wszędzie „MPiK" — zbankrutował. Po sezonie turystycznym zainteresowanie klubem spadło do zera i placówkę trzeba było zlikwidować.

◆ Teatr im. Węgierki wystawił angielską komedię muzyczną „Złotniczka z Londynu". W przygotowaniu „Mąż i żona" oraz „Dziady".

### KIELCE

◆ 19 września odbyło się w Sandomierzu seminarium historyczne, poświęcone pięcioletnim dziejom głównego oddziału partyzanckiego „Jędrusie". Referat podstawowy wygłosił gen. prof. dr St. [illegible] — [illegible] członkowie oddziału. Przypomniano również o bogatej działalności wydawniczej i twórczości artystycznej oddziału.

◆ Dni Radomia (17—29 września) połączone były z obchodami [illegible] miasta. Odbyło się wiele imprez artystycznych, oddano do użytku [illegible] szkoły, wybito medal pamiątkowy.

### LUBLIN

◆ Liceum im. St. Czarnieckiego w Chełmie obchodziło potrójny jubileusz: 100-lecie śmierci hetmana, 60-lecie strajku szkolnego na Ziemi Chełmskiej oraz 50-lecie istnienia szkoły. Na zjazd wychowanków przyjechało kilkaset osób. Obchody zbiegły się z Dniami Chełma (24—26 września).

◆ W Milejowie, słynnym z wyrobów owocowo-warzywnych, po 3 latach ukończono wreszcie budowę Domu Kultury. Ale natychmiast po otwarciu trzeba było zacząć remont, bo wiele prac wykonano źle i niedokładnie, a np. część parkietów — aby się nie brudziły — posmarowano ropą naftową.

◆ Powiat krasnostawski ma 283 wsie, a w nich 111 placówek kulturalnych. Ale mimo to są wioski, które nie mają ani jednej. Prawidłowa lokalizacja tych placówek oraz utrzymanie ich pełnej działalności to pilne zadanie dla władz powiatowych.

### RZESZÓW

◆ Z udziałem gości zagranicznych odbyło się w Przemyślu (21—22 września) ogólnopolskie walne zgromadzenie Polskiego Tow. Ludoznawczego. Połączone ono było z sesją naukową na temat etnografii dorzecza środkowego Sanu.

◆ Zespół etnografów pod kierunkiem prof. dr Romana Reinfussa z lubelskiego UMCS prowadzi inwentaryzację zabytków kultury ludowej oraz folkloru w pow. Ustrzyki. Chodzi o zachowanie kultury tej części Bieszczadów, w której powstanie zalew po wybudowaniu zapory w dolinie Soliny.

## Z czego śmiano się przed półwieczem?

### Może

*— Mój kochany, czy te napady bandyckie nigdy nie ustaną?*
*— Chyba ustaną.*
*— Z jakiego powodu?*
*— Może się bandytom cały ten interes w końcu sprzykrzy?*

### Doktór w chorobie

*Dla czegóż się leczysz, gdyś*
*chory, doktorze,*
*Wszak własna twa nauka,*
*również pomódz może?*
*Dlaczego? — doktór z gorzkim*
*odpowie uśmiechem:*
*Samobójstwo, mój drogi,*
*śmiertelnym jest grzechem.*

### Materiał na Sherlocka

*— Domyślam się, że w tem zamkniętem mieszkaniu musiał zostać pies.*
*— Z czego o tem wnosisz?*
*— Bo wył i szczekał, a potem wyglądał przez okno.*

### Przy egzaminie

*— Jakiej barwy jest koń — pyta nauczyciel powierzonego swej opiece małego książątka.*
*— Zielonej.*

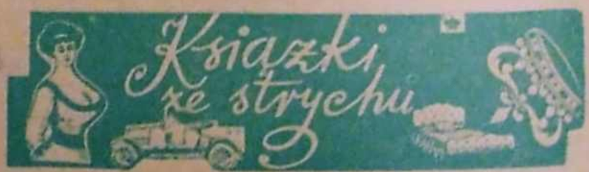


*— Doskonale! Książę widocznie miałeś na myśli konika polnego.*

### W końskiem kasynie galicyjskiem

*Hrabia Alfons: — Jak to się stało właściwie, że ten Kolumb odkrył Amerykę?*
*Hrabia Alfred: — Prosta rzecz, chciał się do Indji dostać.*
*Hrabia Alfons: — No tak... ale... czegóż ten idjota nie płynął przez tego... przez kanał Suezki?*

### Z tą różnicą

*Michałek jest forysiem u pana lajtnanta, ale ma szelma humor prawdziwie szubieniczny. Gdy go pytają, jak mu idzie służba i czy zadowolony ze swego pana, powiada:*
*— O, jeszcze jak! Żyjemy z panem lejtnantem, jak przyjaciele, a nawet codziennie wytrzepujemy sobie wzajemnie kabaty, tylko z tą różnicą, że ja mój kabat podczas trzepania noszę na sobie!*

### Wieczorny dodatek

*Dwóch przyjaciół przechadzało się wieczorem po wałach i spotkali redaktora jednego z pism codziennych, który szedł pod rękę z piękną kobietą.*
*— Czy to jego żona? — zapytał jeden.*
*— Nie, to wieczorny dodatek do jego pisma — odpowiedział drugi.*

### Kłamliwe twierdzenie

*— Które twierdzenie geometryczne jest dziś najobrzydliwszym kłamstwem?*
*— To, że prosta droga jest najkrótsza.*

(Encyklopedia humoru i satyry polskiej. Pod redakcją Antoniego Orłowskiego (Kruka). Warszawa — 1924. Nakład Tygodnika „Mucha").